Bezpłatny dodatek do nr 174. „Głosu Narodu"

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 26 Kraków, niedziela, dnia 27 czerwca 1937 r. Rok II

ZYGMUNT LASOCKI

Ostatnie trzy wieki Polski przedrozbiorowej

w świetle „Dziejów Polski nowożytnej" prof. Konopczyńskiego*)

XIII. AKSAKI.

Wspomniałem już poprzednio o przesadnych danych o liczbie szlachty w wojsku Chmielnickiego. Zawdzięczamy je głównie pracom W. Lipińskiego, szlachcica polskiego, który jeszcze przed wojną światową stał się gorącym patriotą ukraińskim i starał się w pismach swoich uwypuklić znaczenie szlachty w ruchu narodowym ukraińskim.

Nie ulega wątpliwości, iż w wojsku kozackim znajdowała się dość znaczna liczba drobnej szlachty ruskiej, tudzież pewna ilość prawie wyłącznie szumowin, banitów i infamisów, pochodzących ze szlachty polskiej, którzy dobrowolnie służyli Chmielnickiemu. Byli wreszcie i Polacy zagarnięci lub wzięci do niewoli, których pod przymusem do wojska tego wcielono. Ci, przy nadarzającej się sposobności, uciekali do obozu polskiego.

Sam Chmielnicki mienił się być szlachcicem i, jako hetman wojska zaporoskiego, używał wspaniałej pieczęci z herbem „Abdank". Ruskim szlachcicem był Wyhowski, który, dostawszy się do niewoli kozackiej w bitwie pod Żółtymi Wodami, służył potem Chmielnickiemu jako pisarz wojskowy. Szlachtą ruską byli znani pułkownicy kozaccy: Bohun, jeden z bohaterów Sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem", i Krzyczewski, który, walcząc po stronie polskiej w czasie nieszczęsnej kampanii w r. 1648, dostał się w łyka tatarskie. Chmielnicki, z którym „przedtem żyli w przyjaźni dobrej", wykupił go od Tatarów. Odtąd służył mu Krzyczewski gorliwie dowodząc kijowskim pułkiem kozackim.

Liczbę jednak szlachty wśród Kozaków przesadził Lipiński znacznie. Czasami czyni to z nieznajomości przedmiotu. I tak np. rozpisuje się o rotmistrzach „Kozaków pancernych", szlachcie Jerzym Hołubie, Samuelu Komorowskim i innych rotmistrzach chorągwi kozackich, jego zdaniem „lekkiej kawalerii obok cięższych chorągwi: pancernych i usarskich" (str. 151, 152). Podobnie jak docent historii, dr Górka, nie wiedział także i Lipiński, iż polskie chorągwie kozackie, to są właśnie chorągwie pancerne, a wspomniani przez niego rotmistrze, to rycerze polscy, którzy na czele tych swoich „Kozaków" potężnie gromili wojska kozackie.

Zupełnie bezpodstawnie zalicza Lipiński, li tylko z powodu podobieństwa nazwisk, wiele osób, znajdujących się w szeregach Chmielnickiego, do możnych rodów szlacheckich. Jako przykład przytoczę wymienionych przez niego na pierwszym miejscu Aksaków (str. 57). Otóż dzieje tej rodziny badałem i opisałem, interesując się osobą „lwiego pacholęcia" Aksaka, kilkakrotnie wspomnianego w „Ogniem i mieczem", któremu Sienkiewicz daje przedwcześnie zginąć w obronie Zbaraża. Rodzina ta, pierwotnie prawdopodobnie Tatarzy litewscy, już jako katolicka przesiedliła się w końcu XVI w. na Ukrainę. Tu porosła w dostatki, a od schyłku XVI w. nietrudno dzieje każdego z jej członków odszukać w źródłach. Wszystko to bujna szlachta kresowa, mająca nieraz i ciężkie przewinienia na sumieniu, ale zarazem ludzie rycerscy, walczący i ginący za sprawę polską przeciwko Kozakom i Tatarom.

W rejestrach kozackich z r. 1649 spotyka się Aksaka bez imienia. Stąd u Lipińskiego Aksaki wśród możnej szlachty po stronie Chmielnickiego. Nie ma jednak absolutnie żadnych danych, by ten rejestrowiec miał cośkolwiek wspólnego ze znaną rodziną szlachecką. Nazwa Aksak, podług p. Dziadulewicza, jest wschodniego pochodzenia i znaczyć ma: kulawy. Być może, iż wśród Kozaków Chmielnickiego znajdował się potomek jakiegoś Tatara, czy Turka, o przydomku „kulawy" — wszak wśród nich były „męty ludzkie z łotrzyków różnych narodów uzbierane", jak mawiał Zygmunt III. Wykluczonym jest jednak, by należał on do możnych na Kijowszczyźnie Aksaków. Wszyscy trzej, zdolni podówczas do broni, członkowie tej rodziny walczyli na czele własnych chorągwi przeciwko Kozakom. Najmłodszy, Gabriel, Sienkiewiczowskie „lwie pacholę", co to rzeczywiście „pod Konstantynowem okrył się sławą", ranny w obronie Zbaraża, zginął później w walce z Kozakami. Brat jego, Jan, i stryj ich, Michał, rotmistrze J. K. M., odznaczyli się również w walkach r. 1648 i 1649 przeciwko Chmielnickiemu. Dziwnym zbiegiem okoliczności, wskutek mylnej informacji Lipińskiego, dostało się ich nazwisko na karty „Dziejów Polski nowożytnej" (II, 7), wśród rodzin szlacheckich — które stanęły po stronie Chmielnickiego.

Nazwisko to, dzielnych obrońców polskich Kresów, należy wykreślić spośród rzekomo bardziej znanych nazwisk szlacheckich wojowników Chmielnickiego.

XIV. LIPKOWIE.

O Tatarach litewskich pisze prof. Konopczyński (I 359), iż „służyli Polsce i Litwie wiernie — z wyjątkiem tych, którzy w 2. połowie XVII w. z pobudek religijnych uszli do Bessarabii na stronę Ordy i Porty". Pozwolę sobie jednak zaznaczyć, iż pobudki wyznaniowe nie odegrały widocznie decydującej roli u tych Tatarów, kiedy w XV i XVI i w przeważnej części XVII wieku służyli w wojsku litewskim i polskim, a nieraz przychodziło im walczyć przeciwko swoim współwyznawcom. Przejście ich do nieprzyjaciela w r. 1672 i 1673 nie było zatem spowodowane wyłącznie kwestią wyznaniową, lecz innymi, niższymi, pobudkami. Odegrała tu zapewne rolę wiadomość o ogromnej potędze tureckiej, idącej na podbój Polski. Nadto jako powód buntu i zdrady podawali w r. 1673 sami Lipkowie, przyznając, że „się narazili majestatowi J. K. Mci i całej Rzplitej" dla „starych zasług", to jest żołdu, którego im nie wypłacano. Motyw ten powtarza się niejednokrotnie w żalach Lipków do Rzeczypospolitej, której skarb, wiecznie pusty, zalegający nieraz całymi latami z wypłatą należnej płacy, wywoływał bunty także u rdzennie polskich żołnierzy, w postaci groźnych i zgubnych dla państwa konfederacji wojskowych.

Rozżaleni z powodu nieotrzymania krwawo zasłużonego żołdu, ulegając namowom najwybitniejszego podówczas swojego rotmistrza, Aleksandra Kryczyńskiego, któremu się marzyła wielka kariera pod protekcją padyszacha, ba nawet hańswo krymskie, olśnieni potęgą turecką, która się zbliżała do ich ówczesnych siedzib na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, złączyli się Lipkowie ze swoimi współwyznawcami przeciwko swojej przybranej ojczyźnie.

Przeważna jednak część Tatarów litewskich dochowała wierności Rzeczypospolitej. Trzy ich chorągwie walczyły w r. 1673 pod Chocimem przeciwko Turkom i Tatarom, nie bacząc na wspólność wiary mahometańskiej.

O bezwzględnym wysuwaniu kwestii żołdu przez zbiegłych Lipków świadczy rozprawa S. Kryczyńskiego, pod tyt.: „Bej barski" w Roczniku Tatarskim, II s. 267, 274, 277, 287, 296. Jest też o tym wzmianka u Rollego w „Dziejach osadnictwa tatarskiego".

Po śmierci Aleksandra Kryczyńskiego i po klęsce chocimskiej zaczęli Lipkowie powracać do Polski. Widocznie zatem nie najgorzej się im działo w Rzeczypospolitej.

Zaś dla Tatarów litewskich wyjednał Sobieski konstytucję sejmową z r. 1678 za „oświadczone Nam y Rzeczypospolitey usługi y wierne poddaństwo" różne przywileje, a starszyźnie potwierdzenie „prawa o wolności równe ze stanem szlacheckim".

XV. SZLACHECCY TYTULARNI PRÓŻNIACY.

„W miastach funkcjonują liczni odrębni urzędnicy, pracowitsi od szlacheckich tytularnych próżniaków", pisze prof. Konopczyński (I. 370), mając na myśli tytularne urzędy szlachekcie.

Do próżniaczych urzędów szlacheckich nie należały oczywiście urzędy sądowe: sędziowie ziemscy i grodzcy, podsędkowie, pisarze, komornicy, a także i podkomorzowie, jako sędziowie spraw granicznych, wraz z komornikami granicznymi. Wobec pieniactwa szlachty, nie były to bynajmniej synekury, jak świadczą niezliczone księgi sądowe ziemskie, grodzkie i podkomorskie. Czynności wojskowe w pospolitym ruszeniu mieli chorążowie danych ziem. Pewien zakres działania mieli wojscy, skarbnicy, burgrabiowie i t. d.

Ale i o typowo tytularnych godnościach stolników i podstolich, cześników i podczaszych, mieczników i t. p. nie należy mówić — o ile idzie o wiek XVII — z lekceważeniem.

W Polsce XVII wieku nie było orderów. Próba Władysława IV wprowadzenia orderu Niepokalanego Poczęcia N. M. P. zawiodła w zupełności.

Za długoletnią służbę wojskową i zasługi wojenne dawano jako „panem bene merentium" dożywotnio zwykle drobne królewszczyzny, wójtostwa i sołectwa, już rzadziej całe wioski, najrzadziej starostwa.

Do nagród za czyny rycerskie należało również nadawanie tytularnych godności. Przy nominacjach na urzędy stolników, cześników i t. p. spotyka się w Metryce Koronnej i w kopiach (oblatach) przywilejów znajdujących się w aktach różnych grodów, zwykle jedno uzasadnienie: zasługi wojenne. W Sygillatach sypią się nadania takich urzędów za Jana Kazimierza i za Sobieskiego dla zasłużonych rycerzy. Wśród ogromnej liczby takich nominacji, które spotkałem w aktach, wspomnę o kilku nieco głośniejszych nazwiskach, napotkanych przeważnie w lwowskim Archiwum, t. zw. Bernardyńskim: Marek Gdeszyński, rotmistrz chorągwi pancernej, w której służył Skrzetuski, śmiertelnie ranny w bitwie zborowskiej, otrzymuje jeszcze w obozie pod Zborowem godność stolnika lwowskiego po Stanisławie Kowalskim, który poległ był w tej bitwie. Godność stolnika przemyskiego piastuje Wołodyjowski, pułkownik J. K. M., który zginął w Kamieńcu, dobrze nam znany z trylogii Sienkiewicza. Dzielny junak, rotmistrz J. K. M., Jan Aksak, gdy się odznaczył w walkach z Kozakami, został stolnikiem kijowskim. Odważny Szwed, Aswerus Heydepol — z okazji nobilitacji otrzymał nazwisko Wrzospolski — pułkownik J. K. M., uzyskał, po licznych czynach wojennych, tytuł podczaszego czernichowskiego. Gdy zginął pod Wiedniem, nadał Sobieski, w obozie pod Preszburgiem, tę godność Stanisławowi Korytce, towarzyszowi choragwi usarskiej, którego dwaj bracia polegli byli w wyprawie wiedeńskiej. Takich przykładów, stwierdzonych aktami, mógłbym przytoczyć wiele.

Tytularne te godności zdobywano w XVII w. zwykle zasługą wojenną, nieraz obficie przelaną krwią własną. To też ceniono je w tym czasie.

W późniejszych latach panowania Augusta II, za Augusta III, a zwłaszcza Poniatowskiego, który ogromnie pomnożył godności tytularne, nadawano je za zasługi i intrygi polityczne dla prowincjonalnych działaczy, za przemawianie za dworem po sejmikach, lub na zatkanie ust malkontentom. Wyjednywano je protekcją faworytów lub faworytek królewskich, a przede wszystkim — za pieniądze. Godności, zdobywane za Jana Kazimierza i Sobieskiego trudem wojennym i ranami, stały się za Augustów i Stanisława Augusta rzeczywiście udziałem „szlacheckich tytularnych próżniaków".

Koniecznym jest jednak podkreślić i na tym polu różnicę pomiędzy XVII a XVIII wiekiem.

XVI. DROBNE SZCZEGÓŁY.

Na zakończenie wskażę jeszcze na kilka drobnych szczegółów: Do wywodów w tomie I „Dziejów", na str. 360, zaznaczę dla ścisłości, iż ograniczenie prawa nobilitacji przez króla nastąpiło już konstytucją z roku 1578. Przy wspomnieniu o „dukach" (s. 362) nadmienię, iż był tylko jeden „duk", Ossoliński, któremu papież nadał ten tytuł. Natomiast książąt z nadania cudzoziemskiego było więcej. Wreszcie, gdy mowa na s. 383 o sposobach uzyskania wszystkich prerogatyw szlacheckich, wspomnę, iż należały tu także nobilitacje „praeciso scartabellatu".

Powołanie się, m. in. źródłami na s. 435, na „Złotą Księgę Szlachty Polskiej" Żychlińskiego nie jest wskazane w poważnym dziele prof. Konopczyńskiego. Wydawnictwo „Złotej Księgi" nie jest bowiem na ogół wiarygodne.

W tomie II s. 18 nie jest dla mnie zrozumiałym, czemu nazwano Hieronima

(Ciąg dalszy na str. 2).

*) W artykule VI („Tydzień" z 20 czerwca b. r.), w kolumnie trzeciej, wiersz 29 od góry ma być „chłopach-włościanach" zamiast „chłopach włościańskich".

MALWA CHĄDZYŃSKA

ŻAL

Przyobleczony w szarą szatę
Ze łzami w oczach idzie w dal,
Pytam się jego: ktoś ty taki?
On odpowiada smutno — Żal...
— przychodzę wtedy, kiedy szczęścia
Już obumiera wonny kwiat.
I ze mną płacze wówczas cicho,
Taki znikomy, marny świat...
Kiedy tęsknota przędze snuje
Idę od Tatr do morza fal,
A wicher za mną poszum niesie,
— Żem nieszczęśliwy zawsze — Żal...

DR MARIAN RYTEL

Jak powstają odkrycia naukowe?

Wpływ przypadku na powstawanie odkryć naukowych

Ludzie, którzy nie mieli sposobności do bliższego zapoznania się z historią nauki, są skłonni do hołdowania jednemu z dwu skrajnych poglądów. Albo uważają odkrycia za dzieła szczególnie wybitnych jednostek, którym przypisują wyłącznie zasługię dokonania tego, czy innego odkrycia, albo też odmawia ją uczonym wszelkiej zasługi, a wszystko przypisują szczeęśliwemu zbiegowi okoliczności, przypadkowi. Poprzednio („Prawo rządzące rozwojem nauki" i „Wpływ warunków społecznych na powstawanie odkryć naukowych") wykazaliśmy, do jakiego stopnia to pierwsze mniemanie jest błędne, do jakiego stopnia odkrycia naukowe są wynikiem współpracy wielu jednostek i jak bardzo zależą od współczesnego stanu nauki. Obecnie zajmuje nas pytanie, czy i w jakiej mierze zależą one od szczęśliwego przypadku. Jest rzeczą nie dającą się zaprzeczyć, że przy powstawaniu olbrzymiej większości odkryć naukowych szczęśliwy zbieg okoliczności odegrał mniej lub więcej ważną rolę. — Obecnie chodzi o to, aby zbadać, na czym ta rola polega.

1. KIEDY MÓWIMY O PRZYPADKU?

Czy wszystko, co dzieje się na świecie, podlega nieubłaganym prawom? Czy też w naturze jest miejsce na takie zjawiska, które nie są członami jakiegoś łańcucha przyczynowego, nie wynikają z innych, jednym słowem są przypadkowe? Czy może rzeczywistość podlega nieubłaganym prawom, tylko nasz umysł nie jest w stanie zdać sobie sprawy z całokształtu działających w pewnym momencie przyczyn i dlatego mówimy o przypadku? Oto są pytania, które stanowią jądro sporu pomiędzy dwoma krańcowymi stanowiskami filozoficznymi, które nazywają się determinizmem i indeterminizmem. Spór ten trwał od wieków i obecnie stał się na nowo aktualnym wobec najnowszych zdobyczy fizyki w dziedzinie budowy materii.

Nie będziemy próbowali odpowiedzieć na te pytania. Wystarczy nam jeżeli określimy, jakie odkrycia należy uważać za przypadkowe, jeżeli wskażemy cechę, która nam pozwoli odróżnić je od innych. Odkryciem przypadkowym będzie odkrycie niezamierzone; — badacz w trakcie swej pracy dochodzi do jakiegoś wyniku, którego nie spodziewał się osiągnąć, staje wobec zjawiska, którego istnienia nie podejrzewał.

2. CZY PRZYPADEK JEST CZYNNIKIEM DECYDUJĄCYM?

Z podanej powyżej definicji zdaje się wynikać że każde odkrycie jest przypadkowem, co więcej, że przypadek przy każdym odkryciu musi odgrywać decydującą rolę. Tak by przynajmniej wynikało z następującego rozumowania: każde odkrycie musi nam dawać coś nowego, inaczej bowiem nie byłoby odkryciem; to coś nowego nie może być zamierzonym, gdyby bowiem było zamierzonym nie byłoby nowym; a skoro jest niezamierzonym, więc jest przypadkowym.

Rozumowanie powyższe jest bardzo proste, jest znacznie mniej skomplikowane, niż zagadnienie, którym się obecnie zajmujemy. Aby stwierdzić do jakiego stopnia jest ono słusznym, rozpatrzmy kilka przykładów.

3. PRZYKŁADY.

Oerstedt wykładał fizykę na Uniwersytecie w Kopenhadze. Podczas jednego z wykładów robił doświadczenia z ogniwem Volty. Zdarzyło się tak, że na stole na którym robił doświadczenie, znajdowała się pozostawiona tam przez zapomnienie busola. — W trakcie przeprowadzania eksperymentu ze stosem Volty zauważyli obecni drgania igły magnetycznej.

Roentgen przeprowadzał badania nad promieniami, które powstają między dwoma elektrodami w rurce, z której wypompowano powietrze. W pewnej chwili przerwał swoje doświadczenia i miał się zająć czymś innym. Aby zaś nie przeszkadzało mu światło promieni katodowych, zakrył rurkę czarnym materiałem. Zauważył wówczas ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że porzucony przezeń w kącie ekran niespodziewanie pojaśniał. Ponieważ nie było w laboratorium innego światła, pod którego działaniem mógłby ów ekran pojaśnieć, więc Roentgen doszedł do wniosku, że stało się to pod wpływem promieni wydostających się z zasłoniętej rurki. W ten sposób zostały odkryte „promienie X" posiadające własność przenikania przez ciała nieprzeźroczyste.

Nie ulega wątpliwości że omówione powyżej odkrycia były w całym tego słowa znaczeniu przypadkowymi. Ani Oerstedt nie wyślał o możliwości oddziaływania prądu elektrycznego na igłę busoli, ani Roentgen nie podejrzewał istnienia promieni zdolnych do przenikania przez ciała nieprzeźroczyste. Gdyby na stole, na którym Oerstedt robił swoje doświadczenia, nie było busoli, nie byłby on dokonał swego odkrycia. Gdyby promienie katodowe nie padły na porzucony w kącie ekran pokryty substancją posiadającą własność fluoryzowania, nie byłoby promieni Roentgena. Rezultaty, do których doszli obydwaj badacze, były niespodzianką dla nich samych, były wynikiem szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Czy jednak zawsze odkrycie niezamierzone musi być przypadkowym? Czy przypadkowym było naprzykład odkrycie radu przez państwo Curie? Rzecz jasna, że nie było ono zamierzonym, bo gdyby państwo Curie przed swoimi badaniami wiedzieli o istnieniu radu, to nie potrzebowaliby go odkrywać. Aby odpowiedzieć na pytanie, czy ich odkrycie było przepadkowym, zobaczmy, jak do niego doszło.

Kiedy państwo Curie przystępowali do swoich badań, wiadomo było, że niektóre sole uranu posiadają własności promieniotwórcze. Wiadomo także było, że pod wpływem tych promieni powietrze staje się dobrym przewodnikiem elektryczności. Jeżeli więc w pobliżu naładowanego elektroskopu znajdują się jakieś substancje promieniotwórcze, to pod ich wpływem powietrze pomiędzy listkami elektroskopu zaczyna przewodzić elektryczność, elektroskop się wyładowuje — jego listki opadają. Im silniejsze jest promieniowanie, tym szybciej opadają listki przyrządu.

Panu Curie postawiła sobie za zadanie ustalić, czy oprócz zbadanych już i inne sole uranu posiadają własności promieniotwórcze. Pytanie to rozszerzono potem i na inne pokrewne minerały. Badania przeprowadzano w ten sposób, że partie substancji, której właściwości promieniotwórcze badano, zbliżano do elektroskopu i patrzono, czy i jak szybko opadają listki tego ostatniego.

W trakcie doświadczeń okazało się, że blenda smolista pochodząca z kopalni w Joachimstal wykazuje cztery razy silniejsze promieniowanie, niż znane sole uranu. Naprowadziło to panią Curie na wniosek, że blenda smolista musi zawierać pierwiastek znacznie bardziej promieniotwórczy, niż uran. Należało go tylko wydzielić z blendy i opisać. W tym celu odrzucano stopniowo z badanego materiału wszystko, co nie posiadało promieniotwórczych własności, aż wreszcie z olbrzymiej masy 20 tonn uzyskano znikomą ilość czystej substancji radioaktywnej. W ten sposób został odkryty rad.

Zapytajmy jeszcze raz czy to odkrycie było przypadkowe? Państwo Curie badali właściwości promieniotwórcze niektórych minerałów. Badania przeprowadzali na określonym materiale i posługiwali się pewną metodą. Metoda ta była tego rodzaju, że musiało ich doprowadzić do odkrycia radu, o ile — rzecz oczywista — rad znajdował się w badanym materiale. Odkrycie więc w tym wypadku było skutkiem nie przypadku, ale zastosowania odpowiedniej metody. Rzecz oczywista, że gdyby nie było radu w blendzie smolistej użytej do doświadczeń, to nasza rodaczka nie wykryłaby radu, ale skoro on tam był, to metoda, którą się posługiwali małżonkowie Curie, musiała doprowadzić do odkrycia. Widzimy więc, że mogą być odkrycia, które nie są zamierzone, a jednak mimo tego nie są przypadkowe.

Omówione powyżej przykłady prowadzą nas do rozróżnienia takich odkryć, gdzie przypadek odgrywa decydującą rolę, i takich, gdzie wpływ szczęśliwego zbiegu okoliczności ma mniejsze, albo też zgoła znikome znaczenie.

4. KIEDY PRZYPADKOWE ODKRYCIA ZDARZAJĄ SIĘ CZĘŚCIEJ, A KIEDY RZADZIEJ?

Im bardziej jakaś nauka, względnie gałąź nauki, jest młodą i wskutek tego im mniej znane fakty tworzą jakąś zwartą całość, tym więcej sposobności do odkryć w całym tego słowa znaczeniu przypadkowych. Moglibyśmy podać bardzo długą listę takich odkryć z najrozmaitszych dziedzin. — W miarę rozwoju każdej nauki wytwarzają się uogólnienia, które pozwalają na stawianie nowych zagadnień. Rozwijające się stopniowo coraz bardziej subtelne i dokładne metody badań pozwalają na rozwiązanie na drodze doświadczalnej postawionych zagadnień. Każde jednak postawione zagadnienie jest w pewnej mierze nieokreślonym, każde zawiera pewne „czy?" i pewne „jak?". W miarę rozwoju każdej nauki o jej wynikach decyduje coraz bardziej metoda badań, a coraz mniej inne czynniki. Wpływ tych czynników jednak nigdy całkowicie nie zniknie. Nauka ujmuje rzeczywistość w rodzaj jak gdyby sieci, która staje się coraz gęstszą, a oka coraz mniejsze. Rzeczywistość jest jednak zbyt bogata, by dała się bez reszty zamknąć w nasze schematy pojęciowe, względnie ująć przy pomocy tych schematów postępowania, które stanowią metodę. Zawsze pozostaną miejsca na niespodzianki, które szczęśliwy zbieg okoliczności ujawni jakiemuś badaczowi. Ogólnie mówiąc: rola przypadku przy powstawaniu odkryć naukowych jest tym większa, im bardziej młodą i ubogą w uogólnienia jest jakaś nauka. — W miarę rozwoju nauki i wytwarzania się coraz rozleglejszych uogólnień rola przypadku staje się coraz mniej doniosłą. Obecnie mamy w fizyce znacznie mniej odkryć przypadkowych, niż w naukach biologicznych. Dzieje się to dlatego, że fizyka dysponuje bardzo ogólnymi teoriami, gdy w biologii

(Ciąg dalszy na str. 3).

Ostatnie trzy wieki Polski przedrozbiorowej

(Dokończenie ze str. 1)

Radziejowskiego „parweniuszem". Człowiek ten, który z prywaty wielką krzywdę wyrądził państwu polskiemu, zdrajca godny potępienia, parweniuszem jednak nie był. Syn Stanisława Radziejowskiego, wojewody łęczyckiego, i Sobieskiej, wojewodzianki lubelskiej, pochodził ze starego, możnego rodu.

Hetman zaporoski, nazwany na s. 39, 54, 59, Bruchowieckim, figuruje zwykle w źródłach jako Brzuchowiecki. Pod tym też nazwiskiem znajduje się w „Polskim Słowniku Biograficznym".

Wątpię, by wymieniony na s. 63 Dobrzeński był zniemczonym Polakiem. Rodziny Dobrzeńskich nie ma w polskich herbarzach. Istnieje natomiast stara czeska rodzina tego nazwiska.

Przy nazwisku admirała francuskiego, Jana Barta, na str. 149, oczywiście omyłka drukarska.

—*—

Poruszyłem kilkanaście ważniejszych, lub mniej ważnych, szczegółów, przeważnie z XVII wieku, z wielkiego kompleksu spraw objętych „Dziejami Polski nowożytnej". W sprawie większości materiału, zawartego w tym dziele, np. o XVI wieku, lub o epoce Sasów, nie zabierałem wcale głosu. Sądzę, iż specjaliści omówią te czasokresy, a zawodowi historycy całokształt „Dziejów".

Zaznaczę jeszcze, iż na odcinkach „Dziejów", którymi się zajmowałem, stwierdziłem rzeczowe ujęcie przedmiotu, na podstawie gruntownych studiów, opartych o obfity materiał źródłowy. Krytycyzm przy badaniu źródeł i dotychczasowej historiografii nie przechodzi w modny dzisiaj hiperrewizjonizm, polegający na gonieniu za tanimi efektami, wyszukiwaniu „rewelacyj", odbrązowianiu zasłużonych postaci historycznych, przy czym nieraz tupet przy wygłaszaniu sensacyjnych twierdzeń, pozbawionych zwykle wszelkiej podstawy naukowej, zastępować ma wiedzę, znajomość przedmiotu i uciążliwe badania. „Dzieje Polski nowożytnej" — to w każdym razie poważna praca poważnego uczonego.

——oOo——

MARIA

KRÓLOWA RUMUŃSKA.

„Królowe"

(wyj. z powieści, p. t.: „Królowe", autoryzowany przekład Duszy Czary i Eug. Steca).

Wstają z martwych prastare legendy i sagi z dalekich dni. Z ciemności wyłaniają się twarze spowite w welon muzyki. Dudnią kroki w mrocznych korytarzach, nagle otwiera się brama, gdzieś zajaśnieje kaplica w świetle świec, skądś spłyną dalekie pośpiewy, w powietrzu snują się smugi kadzideł. Szczęk broni i głuche tententy kopyt...

A ponad wszystkim rozedrgany blask słońca, — później noc, ciemność i milczenie.

Siedzi cicho ze złożonymi rękami jak gdyby spała.

Mroczny był pokój, jak zblakłe stare gobeliny, dźwigające na sobie proch lat... Zasłony okien zaciągnięte. Grube tkaniny zwisały ciężko, jak gdyby były zmęczone nieskończonym czekaniem. Jak palce błądzące w poszukiwaniu tajemnic przebija się przez draperie promień słoneczny... Lecz kobieta nie podniosła oczu, by spojrzeć na jego blask; jej powieki są spuszczone. Słucha dźwięku dzwonów. Biją wszystkie dzwony Ardichawar, dzwony będące dumą starego zamczyska, ufundowane przez królów, którzy tu żyli i pomarli. Ożywiają powietrze radosne i poważne dźwięki; potężne głosy dźwigające duszę do góry, głuche, jak ponure ostrzeżenia; głośne, śmiejące się dzwony, jak gdyby zwiastujące bezmiar szczęścia, inne znów zdają się jak gdyby przepowiadać cuda w swym rozkołysie, brzmią w krąg wnikając w ciszę samotnej kobiety. Twarz jej jest bez ruchu, lecz ręce zaciskają się coraz bardziej, a spod zamkniętych powiek spływają na policzki dwie ciężkie łzy.

Dzwony nie umieją współczuć; spełniają tylko swoje posłannictwo, nie troszcząc się o rozbudzone wspomnienie i uczucia.

Nagle dźwięki, jakgdyby wsiąkły w głębokość nocy, jak coś nierzeczywistego, jak coś, co żyło tylko w myślach samotnego.

Stara była i samotna. Jej policzki czas porysował runicznymi znakami, zaostrzył jej rysy, a na czole i koło ust wyrzeźbił głębokie bruzdy. Jak ścięty lodem strumień opływa jej śniczna szata. Na szyi sznur kosztownych pereł, zamknięty krzyżem z kryształu błyszczącym tajemniczo.

Stara była i przypruszona siwizną, jak las w noce zimowe, lecz mimo to fałdy jej szat zdawały się chować wspomnienie jej piękności, której nie mógł zniszczyć czas.

Teraz ciszę rozdarł wrzask trąb i rosnący zamęt zbliżających się coraz bardziej głosów.

Powoli otworzyła oczy niezgłębione, jak woda nad niezbadaną głębią. Dziwne było to spojrzenie, dumne i władcze, wnikliwe, a jednak zmęczone jak gdyby nie chciało już niczego widzieć. Tłum był teraz całkiem blisko, głosy wzrosły w potężny gwar, nad którym brzmiał triumfalny dźwięk trąb zmieszany z tupotem niezliczonych kroków.

Na końcu komnaty, gdzie dwie świece płoną przed świętym obrazem, podniósł się jakiś cień z kolan... Pokornie kłoni się młody mnich z założonymi na krzyż rękoma przed staruszką, której spiżowe rysy oblókł cień czułości, gdy jej oczy padły na młodego mnicha, który tam w ciemnym kącie modlił się o pokój jej serca. Rozchyliły się drzwi. Na progu, w jasnym polu światła, stanęła postać kobieca.

Spojrzały na siebie: przeszłość i przyszłość. Dnie, które zachodzą, i dnie, które wstają.

Czekająca podniosła się ze swojego siedzenia i skierowała się w stronę obrazu młodości, który, zdawało się, powstał z przeszłości, aby ugodzić ją w serce.

Spojrzenie królowej przebiegło badawczo oblicze, klejnoty, ubranie i płaszcz młodej kobiety stojącej przed nią, i zatrzymało się na koronie obejmującej czoło. Patrzyła na tę piękność, jak na ucieleśniony sen i w końcu przemówiła patrząc na symbol władztwa:

„Izwanna, oby obręcz ściskająca twe czoło dała Ci moją niegdyś siłę, mądrość i potęgę. Oby lekkim był dla ciebie jej ciężar, a blask jej oby rozjaśnił dni, które przyjdą!"

Wyciągając rękę schyliła się stara królowa, aby złożyć pocałunek na ukoronowanym czole młodej, która postąpiła o jeden krok bliżej i trwożliwie przycisnęła wargi do długich bladych palców starej.

Mile wyglądała młoda księżniczka. Odziana w bogato haftowane i kosztowne szaty, podobna była obrazowi świętemu, który wyszedł z ram. Ciasno opinała ją połyskująca srebrna jej szata, jak pochwa opina miecz. Lecz mimo przygniatającej wspaniałości szat, teraz gdy zaczęła mówić cicho, wyglądała raczej jak obraz nędzy.

„Przychodzę prosić cię o błogosławieństwo, Królowo Grania, która znasz życie. Ja stoję dopiero na jego progu, a tyś przeszła już przez wiele jego ulic".

„Jedna jest tylko droga dla królowych, — odpowiedziała Grania uroczyście... Oby jej kamienie nie poraniły twoich delikatnych stóp, i nie przestraszyła jej długość. Łzy, którymi będziesz płakać, niech będą

DR JAN ZBIGNIEW PACHONSKI (Kraków)

„Wojna 1812 r.“

Ostatnie dzieło gen. M. Kukiela

150 lat mija od wielkiej wojny 1812 r. najkrwawszej w dziejach ludzkości aż po rok 1914.

Na szale walki o władztwo nad Europą, a poniekąd i nad światem, rzucił Napoleon I ogromną na owe czasy armię, bez mała 700-tysięczną, złożoną ze wszystkich prawie narodowości. Francuzi, Polacy, Niemcy, Włosi, Hiszpanie, Prusacy, Austriacy i tyle innych kierowani mocarną wolą cesarza, ruszyli ze wszystkich stron Europy na północ, na tę tak zwaną drugą wojnę polską, która miała unicestwić kolos rosyjski. W kampanii tej ze strony polskiej wzięło udział ponad 100 tysięcy ludzi, słowem armia, na którą nigdy przed tym nie mogliśmy się zdobyć, a której istnienie w okresie rozbiorów byłoby uratowało nas od zguby.

Cały wielki dorobek wojen rewolucyjnych i Cesarstwa w zakresie strategii, taktyki, wyszkolenia dowódców, żołnierzy i wszelkich ulepszeń wojskowych miał tu stanąć do egzaminu dziejowego.

Z drugiej strony występowała Rosja, z armią około 250-tysięczną, więc dużo słabszą, lecz zato narodową, wybornie zaopatrzoną w żywność i furaż uprzednio zgromadzone, nawykłą do warunków terenowych i klimatycznych. Najlepszymi sprzymierzeńcami Aleksandra będą obszar i czas, najwalniej do zwycięstwa pomogą generałowie Mróz i Głód.

Wielka ta wojna, w której padło kilkaset tysięcy ludzi, a władztwo Napoleona nad światem i nadzieje Polaków na niepodległość, długo nie mogła się doczekać na należyte opracowanie. Prace rosyjskie Bernhardiego, Bogdanowicza czy Charkiewicza nie wystarczą Polakowi. Z francuskich obejmujące całość Chambraya i Thiersa są przestarzałe. Niemiecka Osten-Sackena również przestarzała, jest zwięzłym zarysem.

TRUDNOŚĆ TEMATU.

Na przeszkodzie liczniejszym opracowaniom stawała trudność tematu. 1) Materiał rękopiśmienny jest tak wielki, że wydaje się rzeczą niepodobną objęcie go przez jednego człowieka. Szukać go w dodatku trzeba po całej Europie w archiwach państw uczestniczących w tej wojnie (rozkazy, listy, memoriały). 2) Do tego dochodzi literatura rosnąca z każdym rokiem. Mnóstwo pamiętników i opracowań poszczególnych fragmentów we wszystkich językach świata, których doszukiwać się trzeba w bibliotekach zagranicznych. 3) Poza tym opracować tę rzecz mógł tylko fachowiec w dziedzinie historii i wojskowości, który by się nie poplątał w gmatwaninie wydarzeń, a wraz zdobył się na bezstronność, tak nieodzowną przy tego rodzaju temacie, gdzie zainteresowane są ambicje i honor tylu narodów. To też aż do ostatnich czasów dawała się tu odczuć luka. Spodziewano się, że ją zapełni ze strony polskiej Askenazy dalszymi tomami Napoleona i Polski, ale te się nie ukazały. Dopiero obecnie pojawiło się monumentalne dzieło o „Wojnie 1812 r.“, którego autorem jest gen. Marian Kukiel.

AUTOR I DZIEŁO.

Znakomity historyk i pisarz wojskowy, uczeń Askenazego, autor wielu prac naukowych, uważany jest obecnie za jednego z najwybitniejszych znawców epoki napoleońskiej na kontynencie. Dały temu wyraz liczne zjazdy historyków tej epoki, na których gen. M. Kukiel reprezentował Polskę. Równocześnie jest to nie tylko teoretyk, ale i praktyk. Jeden z organizatorów Związku Walki Czynnej, jako oficer legionowy dowodził w boju kompanią i batalionem, potem zaś w walkach z bolszewikami pułkiem i brygadą, po czym przez szereg lat pełnił służbę w sztabie głównym. Do tego przygotowania teoretycznego i praktycznego doszła wytrwała praca; 25 lat życia strawił na badaniach w tym kierunku.

Stąd też dzieło „Wojna 1812 r.“, którego ukazał się na razie I tom w wydaniu Pol. Ak. Umiejętności (Kraków 1937, str. XVI + 444) ma tę potęgę i rozmach, które nakazują szacunek i podziw dla autora, oraz dają gwarancję tezom przezeń wysuwanym. Każda kwestia wyczerpująco opracowana tak pod względem politycznym, ekonomicznym jak i wojskowym. Podział przejrzysty ułatwia ogromnie zrozumienie i opanowanie rzeczy. Źródła, literatura obficie podane. Mapa ogólna i plany bitew ważniejszych szczegółowo opracowane.

I tom, który się obecnie ukazał obejmuje genezę wielkiej wojny, przygotowania do niej i pierwszy jej okres; kampanię litewską. Kończy się w momencie połączenia 1. i 2. armii rosyskiej (t. j. Barclay'a i Bagrationa) pod Smoleńskiem. W przygotowaniu jest tom 2. i ostatni. Przyglądnijmy się teraz, jakie nowe tezy wysuwa autor.

GENEZA WOJNY.

Jeżeli chodzi o genezę wojny 1812 r., to gen. Kukiel przedstawia nam kolejno wszystkie fazy polityki europejskiej od pokoju tylżyckiego (1807) i złudzenia Napoleona co do trwałości sojuszu w Rosją, gdy ze strony Aleksandra była tu tylko konieczność chwili i udawanie, kryjące pod pozorami przyjaźni, nienawiść za dwukrotne upokorzenie i pogardę dla dorobkiewicza-tyrana, chcącego się równać z nim, z monarchą z „Bożej łaski“. Stąd też starania Napoleona o rękę w. księżniczki Anny z takim lekceważeniem odrzucono, co zdecydowało o małżeństwie cesarza z Marią Ludwiką austriacką.

Do tego dochodziła wciąż drażliwa kwestia Polski. Aleksander żądał gwarancji, że nie będzie odbudowaną; Napoleon nie chciał jej dać, ale gotów był zgodzić się na stworzenie Polski pod berłem Aleksandra czy w. ks. Konstantego, gdyby to zacieśniło sojusz. Tym czasem ogromna większość Rosjan sojuszowi temu była niechętna. Stąd Aleksander szuka pretekstów do zerwania i już w 1811 planuje zbrojne wystąpienie.

Początkowo zdawało się, że terenem rozgrywki będą Prusy. Sytuacja zmieniła się, gdy te ukorzyły się i zawarły obłudne przymierze z Francją. Z nieszczerości tego posunięcia zdawał sobie sprawę Napoleon: jeżeli ich wtedy nie zniszczył, to tylko dlatego, że żal mu było poświęcić 100-tysięczny korpus, którym musiałby okupować kraj. Nie uświadomił sobie jednak tedy, że mógł sobie w ten sposób zapewnić pełne poparcie Austrii (za cenę Śląska) i znaleźć walną bitwę z Rosjanami jak w 1807 r. na terenie Prus Wschodnich. Tym czasem bitwy tej przyjdzie szukać aż pod Moskwą daleko większym kosztem ludzi.

Niezręczność polityki francuskiej zadecydowała o tym, że Rosja prawie w przeddzień walki z Napoleonem potrafiła zawrzeć traktaty z Szwecją i Turcją, gwarantujące jej spokój po obu flankach i umożliwiające ściągnięcie armij z tamtych stron.

Nie ulega wątpliwości, że Napoleon myślał zaczynając wojnę o odbudowie Polski i to silniej, która by mogła szachować Rosję. Nowością jest, że Polacy pragnęli koronę ofiarować samemu Napoleonowi. Silnie podkreślone jest znaczenie akcesu Czartoryskich do sprawy Polski napoleońskiej.

PRZYGOTOWANIA WOJSKOWE.

W części II. ilustrującej przygotowania wojskowe mamy drobiazgowe zestawienie sił obu stron i analizę wartości poszczególnych korpusów, oraz ich dowódców. Osobne rozdziały poświęcono przedstawieniu strategii, taktyki i dorobku dotychczasowego napoleońskiego w dziedzinie wojskowości. Podkreśla np. gen. Kukiel, że nie prawdziwą jest opinia, jakoby Francja była wyczerpana z ludzi zdatnych do boju; konskrypcja (pobór) była bowiem wtedy dużo łagodniejsza niż dziś, i ledwie ⅕ ludzi zdatnych do broni wcielana była w szeregi (podobnież i w W. Ks. Warszawskim).

Za to na całej wojnie odbiło się nienależyte przygotowanie wyżywienia ludzi i koni. Ks. Warszawskie, a potem Litwa, zdane tylko na własne siły, nie były zdolne podołać utrzymania kilkuset tysięcy ludzi, zostały zrujnowane, a i żołnierz głodny mniej wartościowy był w boju, mniej odporny na trud. Błędem nie do darowania było nie zaopatrzenie Księstwa w gotówkę na zakupno żywności i obroków, przy czym Księstwu należało się nawet od Francji 7—8 milionów z rozrachunków dawnych, których uregulowanie mogło było zażegnać trudności w tej dziedzinie.

Do tego wywiad francuski był nieudolny, większość danych zawdzięczano Polakom, w sytuacji przeciwnika orientowano się słabo, jak przez mgłę. Tym czasem Rosjanie wszystkie ważniejsze dokumenty „kupowali“ w Paryżu i dzięki temu od początku mieli jasny obraz sytuacji.

MOMENT SOCJALNY.

Część III poświęcona jest kampanii litewskiej. Kapitalne tu jest zwłaszcza przedstawienie nastrojów na Litwie tak różnych w zachodniej i wschodniej stronie i w poszczególnych warstwach. Na ogół jednak Litwa była dużo aktywniejsza niż się sądziło (przejawy współdziałania ludności z wojskiem). Nie bez znaczenia był tu moment socjalny. Chłopi litewscy z zadrością patrzyli na „szczęście chłopów z Ks. Warszawskiego... i wszyscy z uniesieniem chwytają się nadziei, że u kresu walki będzie przywrócenie im wolności. Chłopi z Wielkiego Księstwa zyskali na wolności, nie żeby przez to stali się bogatsi, ale że właściciele muszą przez to być bardziej umiarkowani, sprawiedliwi i ludzcy, inaczej bowiem chłopi porzuciliby ich ziemię, by szukać innych właścicieli. Szlachcic nic na tym nie traci musi tylko być sprawiedliwy, a chłop zyskuje wiele“. Ale właśnie ten przewrót społeczny budzący entuzjazm chłopa, ochłodził mocno znaczną część litewskiej szlachty.

ROLA KOŚCIUSZKI.

Brakło na Litwie przywódcy duchowego w stylu Kościuszki czy A. Czartoryskiego, którego popularność pobudziłaby ją do największych wysiłków. Autor zarzuca T. Kościuszce, że nie wziął udziału w wysiłku Narodu — w chwili, kiedy jego prestiż moralny tak wiele mógł zdziałać. Nalegającej c jego interwencję ks. Annie Sapieżynie tak odpisał: „Moja Księżno — osoby składające konfederację wielbię bardzo i szanuję, oświadczyła ona prawdziwą Polaka każdego żądzę i żeby jeszcze dozwolono jej władać samej i ustanowić rząd, lotem bym pospieszył podpisać i wziąć broń, choć za żołnierza służyć mej ojczyźnie. Ale ona jest pod jednowładczym panowaniem (Napoleona), co wszystko może, co chce, a nie mamy zapewnione ani całości granic, całość Królestwa Polskiego, ani rząd jaki ma być, z przekonania mego uchylam się od podpisu. Nie spodziewam się zato być prześladowanym, a gdy (to) nastąpi, z ubogiego zakątka mego poniosę kości moje zagrzebać w Ameryce, w drugiej mej ojczyźnie. Z serca życzę jednak, aby Moskale zapędzeni byli aż do Syberii, gdzie tak wielu Polaków więzili“...

„Żadnych prześladowań nie doznał, sprawie „zapędzenia Moskali do Syberii“ opłakaną wyświadczył usługę, serce urażone despotyzmem napoleońskim zamknął przed wołaniem własnej ojczyzny“. (Gen. Kukiel).

OPERACJE WOJENNE.

Wreszcie patrzymy na operacje wojenne początkowe. Marsz na Wilno, cofanie się 2. armii rosyjskiej Borchay'a i Bagrationa, z którym każda mogła być zniszczona parokrotnie, gdyby nie błędy samego Napoleona czy jego podkomendnych. Zwłaszcza silnie rzuca się w oczy niedołęstwo króla westfalskiego Hieronima (brata Napoleona) i trudna rola podległego mu, ks. Józefa Poniatowskiego, dowódcy V korpusu.

Całość dzieła gen. Kukiela pisana jest tak przystępnie, a wraz rzeczowo, że nawet ignorant w kwestiach historii i wojskowości nie natrafi tu na żadne trudności, a każdy, kogo te czasy interesują, znajdzie niepomierne bogactwo rzeczy nowych w wykwintnej literackiej formie..

To też z wielką niecierpliwością oczekujemy II tomu tego wspaniałego dzieła.

Wpływ przypadku na powstawanie odkryć naukowych

(Dokończenie ze str. 2)

takie uogólnienia nie zdążyły się jeszcze wytworzyć.

5. KOMU ZDARZAJĄ SIĘ SZCZĘŚLIWE PRZYPADKI?

Jest rzeczą przypadku, że akurat X a nie Y wygrał główny los na loterii. Taki szczęśliwy przypadek może być udziałem każdego gracza. Inaczej przedstawia się sprawa, jeżeli chodzi o takie szczęśliwe przypadki, których wynikiem jest odkrycie naukowe. Nie zdarzają się one każdemu. Trzeba na nią zasłużyć. Trzeba być odpowiednio przygotowanym, by móc je wykorzystać. Rzecz jest zrozumiała na tle tego co pisaliśmy uprzednio. Do tego, by jakiś fakt stał się zdobyczą nauki, musi on być ujęty przy pomocy tych pojęć i tych praw, które nauka już opracowała. Trzeba być odpowiednio przygotowanym, by w jakimś splocie warunków zobaczyć coś niezwykłego, budzącego zdziwienie i domagającego się wyjaśnienia.

Ta ostatnio uwaga pozwala nam jeszcze bardziej ograniczyć znaczenie przypadku dla powstawania odkryć naukowych i stwierdzić, że najważniejszym czynnikiem jest w tym wypadku umysł ludzki, to zadziwiające narzędzie przy pomocy którego poznajemy i opanowujemy świat.

---

mniej liczne, aniżeli perły, które nosisz. A kiedyś, gdy wybije twoja godzina, niech radosne wspomnienia prowadzą cię do cichej Przystani“.

„Nie boję się“ — rzekła młoda królowa... „Życie jest pełne nadziei. I czyż nie mogę opierać się na miłości Galcassa?“

„Obyś znalazła inną podporę, aniżeli serce mężczyzny. Serce człowieka, to — skarb, którego nigdy nie możemy nazwać naszym własnym“.

„Galcass przybył w daleki kraj, aby mnie zabrać ze sobą; radośnie opuściłam moją słoneczną ojczyznę, by iść z nim do jego ponurych lasów. Więc przecież mnie kocha; inaczej pocóż by przychodził z tak daleka?“

„Pożądanie mężczyzny jest jak wiatr, który wieje, raz w tę a raz w inną stronę. Lecz twoje oczy są niebieskie Izvanna; twoje włosy złote i kocha Cię twój mąż. Niech jego żar, będzie łagodnym, a wytrwała twoja cierpliwość“.

Oczy młodej kobiety spoczęły badawczo i z obawą na starych rysach królowej. Lecz na wargach czuła jeszcze pocałunki Galcassa i słyszała szmer szułych słów.

„Przecież jesteś tutaj, wielka królowo, aby mi pomóc; twoje doświadczenie i mądrość wskażą mi prawdziwą drogę“.

„Lepiej milczeć, aniżeli radzić temu, co nigdy nie słucha“.

„Dlaczego nie mam ci być posłuszną, Królowo Grania? Będę potrzebowała twojej pomocy“.

„Nie nazywaj mnie Królową, przecież jesteś mi równą! Mów do mnie matko, jak Galcass mówi; byłam matką dla mojego narodu, matką siedmiorga dzieci, które dziś leżą w ziemi... Lecz wyjdź znowu, obrazie młodości, pokaż się rozradowanemu ludowi. Nie dadzą ci tak prędko spokoju. Posłuchaj tylko głośnych okrzyków zachwyconego tłumu, które jak muzyka głaszczą nasz słuch. Nie zawsze — pamiętaj — jego głosy brzmią tak harmonijnie... Lecz, gdzie jest mój wnuk? Czyż po godzinie szczęścia zapomniał już o samotnej, która chce go pobłogosławić?“

„Galcass przyjdzie, droga matko. Gdy tu przyszłam, był ze swoimi rycerzami w krużganku“.

„Kroki młodych powinny częściej szukać drogi do starych, pochylonych wiekiem i osiwiałych. Niegdyś oni właśnie byli sercem świata...“

„Nie pochylił cię wiek, królowo Grania; stoisz prosto, jak pień, na przegór burzom“.

„Jednak brzemię lat ciąży na moich barkach. Opuść mię teraz i idź pełnić swój obowiązek“.

Bez ruchu patrzyła Grania na zapadającą zasłonę; potem zwróciła się do mnicha, który stał nadal w cieniu, i spytała go:

„Co powiesz o tej wiośnie, Giowanni?“

„Dla mojej szaty nie ma ani wiosny, ani jesieni, ani lata“.

„Więc pozostała ci tylko zima i bliższym jesteś moich siwych włosów, aniżeli tej ukoronowanej wiosennej postaci“.

„Lepiej nie patrzeć w słońce, gdy wzrok za słaby, aby wytrzymać jego blask“.

„Boisz się słońca, Giowanni?“

„Modliłem się zawsze w cieniu“ — odpowiedział młody bezbarwnie.

„Słuchanie twoich modłów to pociecha moich starych dni“.

„Modlitwy moje w dzień i w noc należą do was, królowo Grania“.

„Czy cień mój nie za bardzo ciąży na twojej młodości?“

„Oczy moje przywykły do ciemności“.

Zamilkli oboje. Stara kobieta patrzyła w młode oblicze, tak samo niezgłębione, jak jej własne. Potem odezwała się:

„Zaprowadź mnie do moich zmarłych, Giovanni. Chcę ich odwiedzić, zanim nie zmienię bieli tych świątecznych dni na ciemne szaty“.

„Jesteście, jak wieczny śnieg śpiący na świętych szczytach“.

„Tylko, że ja nie śpię“, — odpowiedziała.

Giovanni podniósł powieki i uchylił zasłony na drzwiach. Zdziwił się ogniowi w jej oczach zapalonemu, gdy przechodziła obok niego.

Ciężko zwisało niskie sklepienie krypty podparte słupami z granitu, wyglądającymi jak las w jesiennej mgle, ponad którym jak dym kadzieł suł się spokój pogrzebanych bólów. Ze zgrzytem obróciły się ciężkie drzwi na zawiasach. Młody mnich puścił przed sobą królowę i podał jej pęk świec woskowych z których jedna migała słabym płomieniem... Jak duch z zaświatów poruszała się bezgłośnie biała postać, tylko szaty szeleściły na ziemi, jak uschłe liście na wietrze. Giovanni stał oparty o drzwi. Jego wzrok szedł za nią, jak w śnie. Im bardziej oddalała się przestrzeń, zdawała się rozciągać i rosnąć w nieskończoność, a potężne płyty grobowców wstawały w niepewnym świetle, jak skały w nocy... Siedem świec zaświeciła stara królowa i przytwierdziła do zimnego kamienia. Ogniste języki strzegące tajemnic umarłych... Na ostatnim kamieniu leżącym wyżej, niż poprzedni, ustawiła królowa pięć świec w kształcie krzyża. Schylona pieściła zimny kamień białymi palcami. Potem odwróciła się wolno i opuściła kaplicę. Znowu cisza i mrok... Tylko dwanaście woskowych świec pełni swą straż samotną.

Przez szybę pędzącego autobusu

Nowy Jork, czerwiec.

W upalne sobotnie popołudnie uciekamy z Nowego Jorku, w którym stłoczone wśród drapaczy chmur, zamknięte w ulicach odciętych szarymi betonowymi blokami domów od ożywczego powiewu z morza, rozprażone powietrze czyni pobyt nieznośnym. Po przebyciu t. zw. „tunelu holenderskiego", prowadzącego pod rzeką Hudson, wypadamy na szosę — nie mówię asfaltowaną, gdyż w warunkach amerykańskich rozumie się to samo przez się, — rozwijając do 100 km. na godzinę. Mkniemy w kierunku New Jersey, mijając po drodze ruchome restauracje i bary pomysłowo urządzone w samochodach ciężarowych. Podróżny znaleźć może w tych barach wszystko, od wymyślnego coctailu do prostej kiełbasy, szybko na końcu widelca podanej. Mijamy w podmiejskich ogrodach stojące drewniane „tanzbudy" i „blockhauzy", magazyny obliczone na naiwność wycieczkowiczów i turystów, sprzedające za drogie pieniądze różne starożytności z okresu kolonizacji Ameryki — co obecnie ze względu na rozbudzający się nacjonalizm amerykański, z lubością sięgający do pionierskiego okresu zdobywania nowego kontynentu przez europejskich protoplastów dzisiejszych Yankesów, znakomicie wzmaga obroty w tej typowo amerykańskiej dziedzinie handlu.

Po drodze wpadamy do różnych miast i miasteczek. Proste drogi, z szerokiej autostrady przechodzące w numerowane ulice miejskie, wyprowadzają nas na drugim krańcu znów na właściwą autostradę. Omylić się prawie nie sposób. Zbliżając się do miasta, napotykamy ustawione co parę kroków, umieszczone na olbrzymich tablicach, widoczne z dala numery, według których na mapie turystycznej odczytać możemy nazwę miasta. Większość miasteczek amerykańskich przypomina nasze europejskie osiedla. Małe, przeważnie z czerwonej cegły budowane domki w otoczeniu zielonych ogródków, przypominają zewnętrznym wyglądem schludne holenderskie osiedla.

Na którymś tam kilometrze przejeżdżamy przez rzekę Delavare mostem, przewieszonym na 30-metrowej wysokości, ponad leniwym, omal ołowianym nurtem rzeki. Przed nami ciągnie się wyludniony szlak. Opuszczone domy, na pół w ruinie, wiele kościołów — tylko w Ameryce możliwe — stojących pustką. Na murach jednego z nich olbrzymi plakat: „Zatrzymaj się! Gmach nadaje się na restaurację lub salę tańca". Nie wiem, czy ogłoszenie odniesie skutek. Okolica jest bardzo wyludniona. A może? Na innym bowiem kościele czytamy: „Dziś świeże kurczaki z sałatą. Koncert i tańce. Wstęp tylko 60 centów". Gdzie indziej znów przed ostatnim jeszcze czynnym kościołem, widać zdaleka olbrzymią tablicę. Na czarnym tle występują wyraziście metrowej wielkości litery, układając się w nakaz V przykazania: „Nie zabijaj! Codziennie trzech ludzi pada w Stanach Zjednoczonych ofiarą morderców"... Są to wszystko protestanckie świątynie...

Zapada noc. Czuję wzrastające znużenie. — Zatrzymujemy auto przed jednym z licznych, przydrożnych domków noclegowych, odznaczonych zielonym światłem, płonącym nad wejściem. Za dolara otrzymać tu można nocleg i rano skromne, smaczne śniadanie, złożone z bułeczek z kawałkiem mięsa i nieodzownym „grapp fruits".

Często wśród drogi zatrzymują się t. zw. „wozy noclegowe", podobne do unowocześnionych, do zmotoryzowanych, cygańskich bud. Wzdłuż obu ścian tej „przydrożnej sypialni" ciągną się ławy, na których wyciągnąć można znużone wędrówką członki. Wszędzie, zarówno w noclegowych domach, jak i w ruchomych sypialniach, znajduje się radio. Z reguły znajdu je się schowana pod stołem umieszczonym w końcu wozu, szeroka półmetrowa wanna, w której można się wykąpać, czerpiąc wodę z rezerwoaru znajdującego się pod wozem.

Dla turystów samochodowych urządzono, co 100 km. miejsca postojowe; można tu nie tylko uzupełnić zapasy benzyny i naprawić ewentualne uszkodzenie, ale i potańczyć na wolnym powietrzu, lub w drewnianej, nawet nie rzadko murowanej, sali przy dźwiękach miejscowej orkiestry.

W Trenton sala taka znajduje się w jednym z baraków, wybudowanych w 1758 roku dla wojsk, które walczyły z armią Waszyngtona. U pułapu jeszcze dotąd wisi herb Anglii.

F. Detta.

Rozmaitości

Rozbrojenie przed 150 laty

Twórca Stanów Zjednoczonych, Waszyngton, po wywalczeniu dla swego kraju niepodległości i uporządkowaniu administracji, przystąpił do organizacji siły zbrojnej. Na zgromadzeniu Kongresu Waszyngton wygłosił wielkie przemówienie, w którym szeroko uzasadnił swój punkt widzenia na kwestię obronności kraju. W prasie i opinii powstały dwa sprzeczne ze sobą prądy. Jeden, idący po linii Waszyngtona, drugi — pacyfistyczny, domagający się zredukowania sił zbrojnych Ameryki Północnej do minimum. Pacyfiści zdołali pozyskać kilku wpływowych członków Kongresu. Na jednym z najbliższych posiedzeń kongresu pewien poseł, stronnik pacyfistów, postawił wniosek, aby siły zbrojne Stanów Zjednoczonych nie przekraczały 3 tys. żołnierza. Wniosek ten był tak skrajnie przeciwny projektowi Waszyngtona, że wszyscy spodziewali się z jego strony gwałtownej repliki. Tymczasem wielki mąż stanu oświadczył, ku niemałemu zdumieniu członków kongresu: „Zgadzam się z całą chęcią, — pod jednym tylko warunkiem, że siły nieprzyjacielskie, które by kiedykolwiek przekroczyły granice Stanów Zjednoczonych, nie będą wynosiły więcej niż 2 tys. żołnierza". Huragan śmiechu był odpowiedzią na trafną replikę Waszyngtona. Po tym wystąpieniu, nagły wniosek pacyfisty odrzucono prawie jednomyślnie.

Samoloty w walce z olbrzymami morskimi

Zbombordowany przez hiszpańskich lotników rządowych statek niemiecki „Deutschland" jest 4. po wojnie statkiem, na którym wypróbowano działanie bomby lotniczej. Pierwszy wypadek miał miejsce w 1933 r. na Oceanie Indyjskim, w pobliżu Borneo, gdzie samoloty holenderskie zmusiły statek „De seven Provinzien" do poddania się. Po raz drugi użyto samolotów przeciwko okrętom w greckiej wojnie domowej, gdy powstańczy statek „Georgios Averoff" trafiony był bombami samolotów rządowych. Trzeci wypadek miał miejsce w hiszpańskiej wojnie domowej z uszkodzeniem rządowego statku „Don Jaime I" przez bomby jednego z samolotów gen. Franco, a 4. „Deutschland".

„Źródło klęski" znów wytrysło

W górach szwabskich, w jednej z tak zwanych Suchych Dolin, w których nie ma nawet najmniejszego strumyka, wytrysło nagle nieczynne już od 1914 roku źródło, które ludność miejscowa nazywa „źródłem klęski". Wytrysk wody jest wyjątkowo silny. W ciągu minuty woda zalewa pas ziemi szerokości sto metrów, po kilku minutach woda z sykiem ginie w podziemiach, by wypłynąć znów po pewnym czasie. Ludność miejscowa uważa ożywienie się działalności źródła za zły omen. Po raz ostatni wytrysło ono wiosną 1914 roku, po 21-letniej przerwie. W r. 1893, w którym tajemnicze źródło było również czynne, panowała w całych Niemczech wielka posucha.

Wyjaśnienie powstania nafty

W krajowym zakładzie geologicznym w Berlinie otworzono niedawno „Instytut mikro-paleontologiczny", gdzie przeprowadza się obecnie zakrojone na większą skalę badania mułu, spodziewając się uzyskać na podstawie tych badań wyjaśnienie, dotyczą ce powstawania nafty. Istnieje bowiem przypuszczenie, że zachodzą pewne związki pomiędzy tworzeniem się mułu w jeziorach a powstawaniem nafty.

Powstawanie nafty nie jest dotychczas wyjaśnione, a jedna z teoryj przyjmuje, że nafta tworzy się z produktów podkładowych skamieniałych, mikroskopijnie drobnych istot, zwanych planktonami, co ma się odbywać w ten sposób, że obumarłe planktony osadzają się w grubych warstwach na dnie jezior i mórz, a pod wpływem zamknięcia dostępu powietrza i ciśnienia przekształcają się w naftę. Wiadomo, że także w praczasach, gdy większe części globu po kryte były wodą, istniały olbrzymie ilości planktonów, które opadły na dno. Te warstwy planktonów zostały później w przeciągu milionów lat odcięte przez nagromadzone nad nimi warstwy nieorganiczne, pod którymi miała się następnie wytworzyć nafta.

Biali uczą się od czarnych

Przed kilkunastu laty wielką sensacją w świecie lekarskim było odkrycie, że bakcyl malarii skutecznie zwalcza pewne choroby umysłowe, powstające w związku z paraliżem postępowym. Metoda jednak leczenia tego rodzaju chorób przy pomocy zastrzykiwania pacjentom zarazka malarii, stanowiąca w Europie sensacyjną nowość, znaną była od wieków i stosowana przez znachorów afrykańskich nad jeziorem Tanganika. Osoby, u których stwierdzono objawy paraliżu i niedowład władz umysłowych, udawały się z polecenia znachorów do bagnisk nad jeziorem. Tam przebywali przez 8 dni w szałasach, budowanych z trzciny. Ponieważ okolice roją się od moskitów, chorzy wracali pokryci na całym ciele niebezpiecznymi dla zdrowego człowieka ukłuciami tych owadów, będących, jak wiadomo, roznosicielami zarazka malarii. Po powrocie znad jeziora zalecano chorym przebywanie przez pewien czas w zupełnym odosobnieniu i spokoju. Po tym okresie następowało zazwyczaj wyraźne polepszenie ich zdrowia. W końcowym stadium leczenia dawano chorym do żucia korzeń pewnej rośliny. Sok korzenia ma smak niezwykle gorzki i, jak stwierdził pewien urzędnik angielskich władz administracyjnych, zawiera duży procent chininy.

Praktyki afrykańskich znachorów, jak widzimy, niewiele odbiegały od współczesnej metody lecznictwa europejskiego.

ADAM BAR

Wśród książek

W powieściach L. Kruczkowskiego widać stałe dążenie ku coraz wyższym osiągnięciom artystycznym i ideowym, począwszy od „Kordiana i chama", poprzez „Pawie pióra", aż do najnowszej jego powieści p. t. „Sidła" (wyd. Gebethnera i Wolffa). Ale chęć pogodzenia elementu artystycznego z tendencją doprowadziła szczególnie w ostatniej powieści do paradoksalnychrozbieżności. Kruczkowski, pisarz, posiadający subtelny smak artystyczny, kłóci się po prostu z Kruczkowskim społecznikiem, marksistą, który domaga się natarczywie głosu, spychając często artystę na plan drugi. To jest zasadniczą wadą „Sideł". Postaram się jaśniej wytłumaczyć. Bogdalski, bezrobotny buhalter, od kilku lat jest na utrzymaniu żony, przeżywa dramat, ścierają się w nim najsprzeczniejsze uczucia, które stopniowo prowadzą do tragedii. Tę postać Kruczkowski świetnie wystudiował. Bogdalski żyje własnym życiem, w szerokiej skali uczuć, począwszy od upokorzenia aż do buntu przeciwko istniejącemu stanowi rzeczy, karni się własnym dramatem, znajdując przed nim ucieczkę jedynie w sceptycyzmie. Tę postać, głęboko przemyślaną, prowadzi Kruczkowski konsekwentnie do ostatnich stronic powieści, nawet w tej scenie, gdy Bogdalski dosiedliszy do wniosku, że już zastygły w nim wszystkie ludzkie uczucia, dochodzi do wyzwolenia przez zbrodnię i samobójstwo. Ten typ z prawdziwą finezją artystyczną wyreżyserowany powinien wypełnić całą treść powieści, zwłaszcza, że na początku rzeczywiście dramat zdeklasowanego inteligenta wysuwa się na czoło. Obok Bogdalskiego stoi jego żona Janka, również dobrze psychologicznie zarysowana postać, ale tylko do chwili, gdy zaczyna karmić się marksistowską lekturą, dostarczoną przez doktora Rudnego. W tym momencie zjawiają się niedociągnięcia, które jednak szybko znikają. Janka dochodzi do pesymistycznego przekonania, że walka z treścią własnego życia jest ponad siły człowieka i prędzej czy później musi skończyć się przegraną. Na tych dwóch postaciach powinna opierać się powieść Kruczkowskiego, która jako dramat jednostkowy, mogłaby wywierać wstrząsające wrażenie. Tym bardziej, że odsuwając na bok przekonania autora, musi się powiedzieć, że w tych dwóch postaciach, a nawet w kilku drugorzędnych, osiągnął Kruczkowski wysoki poziom artystyczny i okazał wyczucie dla skomplikowanych przeżyć duchowych. Ale w poprzek osiągnięciom artystycznym stanęła właśnie tendencja powieści, usymbolizowana w doktorze Rudnym. Doktór, to chodząca doktryna marksizmu postać nierzeczywista, mimo wysiłków autora, aby osadzić ją w jakiejś przeszłości, która dałaby odpowiednie umotywowanie psychologiczne, uzasadniające jego jednostronne wyżywanie się w suchej doktrynie. Rudny nie jest działaczem społecznym, w ruchu socjalnym nie bierze żadnego udziału, wyżywa się teoretycznie. Nie pomogły usiłowania autora, aby w tę martwą postać wlać życie, przez opowiadanie o minionym dramacie, który Rudny kiedyś po śmierci Olgi przeżył i, że wówczas w jego psychice zapanował stan, który autor nazywa „podwiązaniem strefy uczuciowej". Rudny, by utrzymać się na powierzchni życia stworzył sobie tylko sztuczną zaporę w postaci doktryny socjalistycznej, która ma go bronić przeciwko apatii. Ale to za mało. To umotywowanie zjawia się zresztą dopiero przy końcu powieści i nie wynika z biegu wypadków, jest zupełnie sztucznie przyczepione. Samą postać Rudnego trudno powiązać z dramatem Bogdalskich. Autor starał się zmontować w jedną całość dwa wątki i dwa zagadnienia z dwóch różnych płaszczyzn: dramat jednostki i doktrynę. Należycie na początku powieści utrzymany dystans do tematu powieści, szybko zatarł się przez teoretyzowanie, w którym widać chęć wypowiedzenia się, wyrzucenia z siebie dręczących zagadnień, szukanie ich rozwiązania we własnym dziele. Ta chęć skrupułów spycha artystę na drugi plan, przeładowując powieść dyskusjami, gdy tym czasem nastawienie ideowe wypływać winno z rozwoju wypadków i znajdować swój wyraz w psychologii bohaterów działających, Kruczkowski najwidoczniej miał wątpliwości, czy zdoła z odpowiednią dynamiką wyładować swoje poglądy i uczynił to metodą dydaktyczną, podając je czytelnikowi wprost, ale zupełnie nie przekonywująco. Widać jakiś charakterystyczny niepokój, na którego dnie kryje się pesymizm nawet wobec własnych założeń społeczno-politycznych. Doktór Rudny jest marksistą, głosi też hasła, które wobec logiki życia nie dadzą się obronić, dyskutuje na lewo i na prawo, wydaje się, że chce przekonać nie tylko słuchaczy, lecz przede wszystkim samego siebie o słuszności własnych wywodów, szuka go, i wreszcie w pewnym momencie ogarnia go sceptycyzm. Oświadcza wtedy, że faszyzm czy socjalizm, walka klasowa, to tylko czcze formułki, które zawsze bankrutują wobec życia, szuka więc jakiejś nadrzędnej idei, którą znajduje w człowieku. Dobro człowieka ma być sprawdzianem wszelkich korelacyj ideowych, ma retuszować zbyt daleko posunięte pasje. Ale w tym momncie, gdy dochodzi do wniosku, że historia jest monstrualnym magazynem pogruchotanych rynsztunków ideowych, zdobywa się na inny sąd, że jedyną wiarogodną i zdecydowaną postawą człowieka wobec każdorazowej dziejącej się rzeczywistości jest integralny sceptycyzm, który właściwie powinien być uznany za najwyższy trybunał dla wszystkich aktualnych w danej epoce sporów społecznych. W tym jednak wnioskowaniu kryje się bezwzględny pesymizm, kompletne bankructwo celowości życia. Chociaż doktór Rudny w ostatniej scenie kurczowo chwyta się miłości do Janki, to jednak nie jest dla niego żadnym wybawieniem, nie przekreśla faktu, że przy całym swoim socjalistycznym doktrynerstwie jest wobec rzeczywistości kompletnym bankrutem i tylko nie chce się do tego przyznać. Inna rzecz, że to bankructwo wypływa ze szczerego altruizmu, choć trudno pogodzić się z jego marksistowską ideologią, niejednokrotnie wykrętnie przechodzącą do porządku dziennego nad sprawami, które są dla socjalistycznej idei niewygodne, i dla których ona nie może mieć rozwiązania. Rudny miał być apostołem marksizmu, a w rezultacie okazuje się marionetką istniejącą poza nawiasem żywych spraw i żywych ludzi, bankrutem, który daremnie szuka jakiejś dźwigni istnienia.

* * *

Różnorodną twórczość F. A. Osendowskiego cechuje bardzo wielka nierównomierność. Obok książek ciekawych znajdują się i takie, w których widać pośpiech, brak starania o poziom artystyczny. W ostatniej powieści p. t. „Szanhaj" (wyd. R. Wegenera w Poznaniu) Ossendowski szuka jakichś szerszych podstaw ideowych. Na tle współczesnych Chin patrzy w życie dzisiejszego człowieka, bezideowca, pozbawionego oparcia na bliższą i dalszą przyszłość. Wagin, młody spiskowiec rosyjski, któremu nie udał się zamach na Rasputina, dostaje się do Szanhaju, budzi najpierw sensację, później jednak kolonia rosyjska emigrantów oswaja

Barwnik wytrzymały na gorąco i przetwory chem.

Przy wytwarzaniu mas prasowych i sztucznych żywic, które urabia się przy wysokich temperaturach i ciśnieniach, istniała dotychczas ta niedogodność, że nie rozporządzano żadnym barwnikiem, który by odpowiadał całkowicie tym surowym wymogom. Ten dotkliwy brak został obecnie usunięty przez barwnik monastrol, prawdziwy błękit B. S, którego odkrycie przypisać należy angielskiemu przemysłowi farbiarskiemu. Barwnik ten, znosi, nie zmieniając się, temperatury do 500 stopni i jest wytrzymały na kwasy z wyjątkiem kwasu azotowego i kwaśnych środków, utleniających oraz na zasady, rozczynniki organiczne, światło i wpływy atmosferyczne. Posiada on piękny, czysty ton błękitu berlińskiego. Przez dodanie prawdziwego barwnika dochodzi się do czystych, żywych, odpornych, a dotychczas prawie nieuzyskiwanych tonów zielonych. Szerokie pole zastosowania otworzy się niezawodnie dla nowego barwnika także poza fabrykacją sztucznej żywicy.

Odporność organizmu na jad żmii

Reakcja organizmu ludzkiego i zwierzęcego na jad żmii jest różnorodna i zależy od składników chemicznych jadu, zbadanych ostatnio z dość dużą dokładnością. Głównym składnikiem jadu żmij i innych gadów jadowitych jest białko. Obce białko, wprowadzone po raz pierwszy do organizmu, wytwarza antytoksyny i wywołuje stan niebezpiecznego przedrażnienia. Za drugim i trzecim razem antytoksyny zdołały się dostatecznie rozwinąć i wytworzyć w organizmie stan zobojętnienia. Organizm taki jest imunizowany, to jest uodporniony, na działanie jadu. O ile przy pierwszych ukąszeniach osobnik bez natychmiastowego przeciwdziałania zazwyczaj ginie, o tyle przy dalszych jest już odporniejszy. Znane jest np. że zawodowi zbieracze wężów na Dalekim Wschodzie i w Indiach pozwalają się kąsać gadom i po trzecim, czwartym ukąszeniu są już całkowicie uodpornieni. Do doświadczeń tych jednak nie używają nigdy okazów wyrosłych, lecz przeważnie młodych, produkujących minimalne ilości jadu, które nie szkodząc organizmowi, wytwarzają w nim potrzebne antytoksyny. Obecnie nauka poszukuje drogą eliminacji składników trujących w jadzie gadów odpowiedniego preparatu, który by, zastrzyknięty w drobnych ilościach do krwi, pozwolił na imunizowanie organizmu. Dotychczas wytworzono z jadu wężowego dwa składniki: ophiotoxin i crotalotoxin, które zużyte będą jako podstawa do preparatów przeciwdziałających, skutkom ukąszenia żmij.

Najdoskonalszy motor

Jest nim ludzkie serce. Jakkolwiek waga tego „motoru" nie przekracza 300 gramów, pracuje on bez potrzeby reperacji przeciętnie 70 do 80 lat. Wydajność pracy tego motoru jest nadzwyczajna. Serce kurczy się na minutę 60 do 80 razy, co w ciągu dnia wynosi 100.000 skurczów, w roku 40 milionów, a w ciągu 70 lat życia 3 miliardy razy. Za każdym skurczem mięsień sercowy przetłacza $^1/_{10}$ litra krwi, co wynosi 7 litrów na minutę, 420 litrów na godzinę, 10.000 litrów w ciągu dnia, 3.5 milionów litrów w ciągu roku i 250 milionów litrów w 70 latach życia.

190 wolt w węgorzu

W akwarium nowojorskim przeprowadzono niedawno pomiary energii elektrycznej, zawartej w tak zwanym „elektrycznym węgorzu morskim". Jest to gatunek ryby, która w chwili niebezpieczeństwa wyładowuje prąd elektryczny. Jak stwierdzono, siła tego prądu u okazów długości 30 cm. wynosi 190 wolt. Szybkość prądu, przebiegającego w ciele węgorza, wynosi 300 metrów na sekundę. Zjawisko to jest tym dziwniejsze, że zazwyczaj stopień przewodnictwa nerwów ludzkich i zwierzęcych pozwala na szybkość prądu, nie przekraczającą 30 metrów na sekundę.

Największy most na świecie w Danii

W Danii rozpoczęto budowę dwuch największych mostów na świecie. Jeden z mostów będzie nad wielkim Bełtem i połączy wyspę Funen z Zelandią. Długość mostu wynosić ma 16 km. Poza torami kolejowymi, przez most prowadzić będzie również tramwaj. Drugi most połączy ponad Ceresundem Kopenhagę z południową Szwecją.

——ooo——

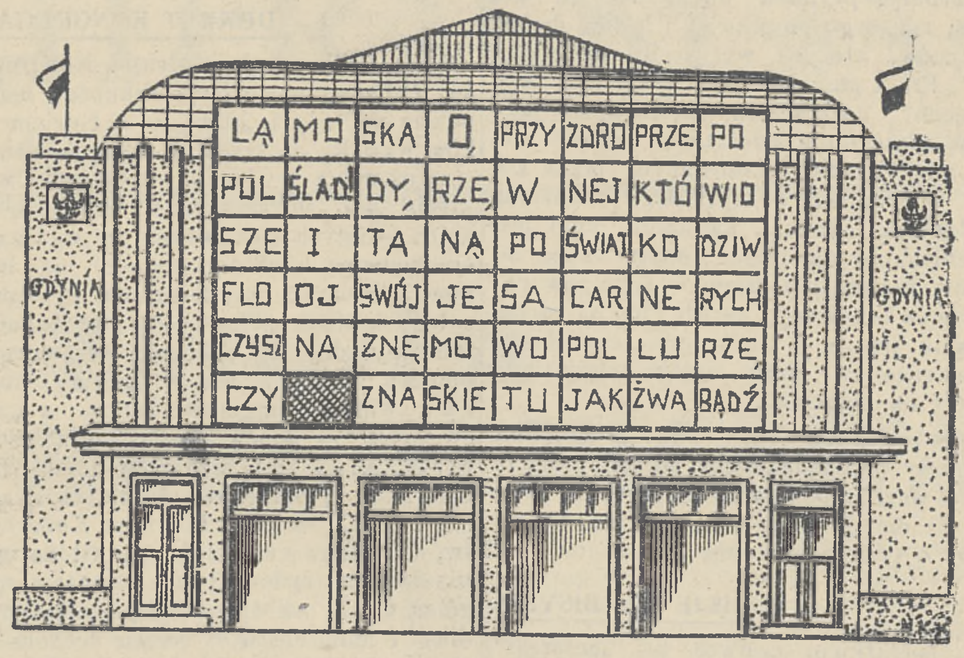
Rozrywki umysłowe Nr 26/65

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Konkurs III (dokończenie)

ZAD. 17. KONIKÓWKA NA „TYDZIEŃ MORZA".

uł. N. K. Kozłowski, czł. Kl. Szar.



Poczynając od litery „O", oznaczonej na rysunku grubszym drukiem, i posuwając się skokami konika szachowego, odczytamy rozwiązanie.

ZAD. 18. SZARADA NA CZASIE,

uł. „Opal", czł. Kl. Szar.

Ludzki **szósty-półczwór-piąty** różne tworzy cuda
widoczny w tym bywa geniusz, a czasem obłuda...
Lecz **sześć-dwa** inteligencji mało się tym zraża
i wciąż w śmiałych poczynaniach coś nowego stwarza.
Powstają gwiazdy, **dwój-pierwsze**, wspaniała fontanny,
wytworne lokale, — przepych, — postęp nieustanny.
Efekt kolorowych świateł czaruje nam oczy.
półczwarte-pięć-szóste woda, skrząc się, strugi toczy.
Istnych cudów **raz-dwa-trzecia** gościnnie nas wzywa
choć z jej wykończeniem... jakoś... niewyraźnie bywa.
Całość — to rewia twórczości, więc każdy, kto może,
niechaj jedzie ją ujrzeć w bliskiej lata porze

ZAD. 19. ZAGADKA,

podał dyr. J. G., Kraków.

Do tramwaju wchodzi pasażer i daje konduktorowi zł. 2; konduktor bez zapytania wręcza mu książeczkę-bloczek na 10 przejazdów, z której wyrywa jeden bilet, resztę oddaje pasażerowi, a ten książeczkę chowa do kieszeni.

Pytanie: skąd konduktor wiedział, że pasażer chciał rzeczywiście książeczkę, a nie pojedyńczy bilet?

ZAD. 20. SZARADA: CZERWIEC,

uł. „Kasta", czł. Kl. Szar.

Na Świętego **wtór-pierwszego**
istne **trzecie-czwarte** dzieciom:
ciepło, tak, że mógłbyś biegać,
jak papuas, **pierwszo-trzecio.**

W lesie pełno jest słodkiego
owocu, aż ślinki lecą,
ale wilczej niech się strzegą,
bo **wtór-czwarte** szkodzą dzieciom.

Na tym kończymy nasz III Konkurs zadaniowy; termin nadsyłania rozwiązania upływa 11 lipca rb. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem kierowniczki Działu R. U. do redakcji „Głosu Narodu". Jako nagrody przyznane zostaną 3 książki.

Wróżebna mowa kamieni

SZARADA: WRÓŻBA NA CZERWIEC,

uł. „Kasta", czł. Kl. Szar.

Jeśli **dziesięć-sześć** ci w łonie
ku **czwór-dziewięć-szóstej** popęd,
siódme-piąte nie obroni
przed tą najsilniejszą z potęg.

Na **jednaście-dziesięć-szóstym**
pierwsza-siódma nie wyrośnie,
bo uczucia zgliszcza puste
są in re i są w przenośni:

ośm-trzy-czwarte zaś ładunki
rozkochanych serc omłotem
platynowość byle Dunki
zmienią w **pierwsze-trzecie** złote.

W **wtór-dwunastym** już nie szukaj
lęku na zwalczanie pokus,
póki serce w piersi stuka
alarmowe hokus-pokus.

Ósma-siódma się nie zmieni
od **wtór-trzynastego** plagi:
piąta-siódma tu — brzemieniem
trochę pozy, trochę blagi.

Słuchaj! w Czerwcu urodzony!
dla ciebie jest droga jasna:
musisz na gwałt szukać żony!...
cudzej... jeśli nie masz własnej.

---

się z jego obecnością, zyskuje sobie przychylność, a nawet miłość Ludwiki Somowej. Ossendowski otwiera przed czytelnikiem tragiczny obraz rosyjskiej emigracji na tle jeszcze tragiczniejszego życia Chin. Wprowadza do opowiadania Miczurina, rosyjskiego porucznika, który trudni się najbrudniejszą robotą, — doktora von Plen, nałogowego opiumistę, — Martę, która schodzi na dno, i szereg innych fragmentarycznych postaci, które reprezentują beznadziejność i wykolejenie emigrantów. Cały ten dramat rozgrywa się na tle współczesnych Chin, które autor niewątpliwie zna dobrze i dlatego nie ma tu dekoracyj, ale życie pełne charakterystycznych powikłań. Zwłaszcza szczegółowo opisuje przedmieście Szanhaju. Potem wypadki rozwijają się z zawrotną szybkością: tragiczna epidemia dżumy w dzielnicy odciętej od reszty miasta, wypadki polityczne, Nanking, Kanton, życie na rzece, gdzie mieszka biedota, walki generałów itd. Na tym tle snuje się dość fantastyczna miłość Miczurina do Ludwiki. Autor stara się te wypadki związać z zagadnieniem bezideowości dzisiejszego człowieka, który nie wie, poco żyje, do czego dąży i jak swoje zamiary pragnie urzeczywistnić. Człowiek współczesny, mówi Ossendowski, bez względu na rasę, stracił równowagę w życiu. Doktor von Plen oddaje się nałogowi, który go wreszcie zabija. Wagin przerzuca się z miejsca na miejsce i nie wie, jaki cel ma jego życie. inni również obracają się w koszmarnym kręgu beznadziejności. Doszedł do celu jedynie Miczurin, zdobywszy się na największą ofiarę, aby ułatwić szczęście Ludwice. Ossendowski z chaosu tragicznych wypadków wyprowadza jako jedyną wartość, miłość, która zwycięsko wychodzi z wszelkich powikłań życia.

* * *

Mam w ręce zabawną książkę napisaną przez troje młodych autorów, z których najstarszy ma — 12 lat. Mówię o książce **Patience, Ryszarda i Johna Abbe** pt. **„W jedenaście lat dookoła świata"** (tł. C. Wieniewskiej, wyd. J. Przeworskiego): Okres niedostatku w rodzinie operatora filmowego i fotografa Abbe przyczynił się do jej powstania. Pewien wydawca znajomy pana Abbego zaproponował mu napisanie pamiętnika ze swoich podróży, pochwyciły to dzieci i uparły się, że będą matce dyktowały to wszystko co zauważyły podczas swego pobytu we Francji, Niemczech, Austrii, Rosji i Ameryce. W ten sposób miała powstać ta oryginalna książka. Nikt nie wątpi, że jest w niej trochę pracy starszych, którzy musieli nie jeden opis uporządkować i niejedno zdanie wystylizować, ale mimo to książka jest ogromnie ciekawa szczególnie jako doskonały przedmiot do badań nad psychologią dziecka. Ogromna plastyka wrażliwości dziecka, okazuje się w opisach tych obrazów i przedmiotów, dlatego, że rysuje w pamięci zdumiewającą ilość szczegółów, które często mimo sprzeczności, jakie między nimi zachodzi, zdradzają wielką logikę w następstwie faktów. Te obserwacje nasuwa książka trojga młodych autorów. Nie patrzą oni na bieg życia z punktu widzenia jakiejś planowości i celowości, młoda pamięć chwyta wszystko i zatrzymuje nawet te drobiazgi, które w umyśle starszego od razu zanikają. To właśnie jest przyczyną, że książka ta odznacza się tak wielką prostotą, bezpośredniością i świeżością wrażeń, że działa na czytelnika, jakby bezpośrednia obserwacja życia, że jest niesłychanie obrazowa. Poza tym wrażenia kojarzą się na podstawie jakiejś zasady wieczystej łączności, którą starszy człowiek przy woli i rozsądku rozrywa, pragnąc wprowadzić w swoim procesie myślenia jakiś ład, usankcjonowany zasadami i poglądami. Zasady nie odgrywają w logice dziecka żadnej roli, nic nie prostuje drogi ich wrażeń, nie ma miejsca na jakąkolwiek względność, wynikającą z naszych ustalonych poglądów. Stąd wynika, że w ich logice myślenia, często opacznej ze stanowiska starszego człowieka, każde zjawisko podświadomie wywołuje inne zjawisko, dawniej już zaobserwowane, że wrażliwość jest tak niesłychanie ruchliwa i bezpośrednia. A z tym wszystkim ogromnie rzeczywista. Ta bezpośrednia rzeczywistość, niezafałszowana prawda, szczególnie jaskrawo występuje w opisach Niemiec i Rosji Sowieckiej. Dzieci nie znają polityki, reagują na to, co je bezpośrednio w życiu uderza, widzą nurt życia bez uprzedzeń i jakichś światopoglądowych nastawień, to też w ich książce występuje ono namacalnie w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Złe i dobre kojarzy się z sobą, bo dzieci nie idą naprzeciw życia z jakimś skrystalizowanym z góry uprzedzeniem, ale z ładunkiem chęci widzenia a nie osądzenia. Ta pierwotność wrażeń jest niesłychanie sugestywną zaletą książki.

* * *

Katarzyna Holland, niemiecka autorka, napisała marną powieść, p. t. **„Dziewczę z przestworza"** (wyd. Rój), którą niepotrzebnie przetłumaczono na język polski. Zresztą przetłumaczono okropnie. Kamila, znana pilotka, właśnie owo „dziewczę z przestworza" zakochała się w badaczu okolic podbiegunowych. Pilotka, mimo swojej miłości, jedzie do Indyj po nowe laury, a badacz nie wiele myśląc, wyjechał do Grenlandii. Ostatecznie pilotka ma katastrofę, z której jednak wychodzi cało, a badacz omal nie traci życia dostawczy się w podbiegunową śnieżycę, ale naturalnie ratuje go pilotka, no i wszystko kończy się jak najlepiej, bo i czytelnik jest zadowolony, że książka się skończyła! Temat powieści może nawet nie banalny, ale bardzo płytko przeprowadzony, bez jakiejkolwiek psychologii, bez tła, katastrofa samolotu nieciekawa, okolice podbiegunowe pozbawione realizmu. Jest to lektura, o której po przeczytaniu ostatniej stronicy zupełnie zapominamy.

Kupon Nr. 26/65

ważny do dnia 11 lipca 1937 r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Przed jakimś czasem szła przez prasę fotografia przedstawiająca „arcybiskupa“ Canterbury, prymasa anglikańskiego kościoła, mającego po prawicy i lewicy dwóch murzynów, których wyświęcił na „biskupów“. Prasa angielska podkreśliła fakt tych „święceń“ udzielonych murzynom jako objaw szczególnie uderzający zmiany metod misjonarskich stosowanych przez kościół anglikański w brytyjskich dominiach i koloniach. Dla nas, katolików, miło jest stwierdzić, że na drogę zaopatrywania katolików krajów misyjnych w biskupów pochodzenia tubylczego wszedł Pius XI zdecydowanie już w r. 1926, święcąc osobiście w bazylice św. Piotra sześciu księży-Chińczyków na biskupów.

Ale poza tym zanotowany wyżej fakt zasługuje na podniesienie jako dowód, że kościół anglikański zamierza rozwinąć żywszą, niż dotąd, działalność misyjną. Świadczyłby o tym jeszcze inny fakt...

O MISJE W ABISYNII.

Z początkiem czerwca br. „cesarski“ rząd Etiopii wydał zarządzenie, w którym powiedział, że odtąd nie będzie tolerował żadnych misjonarzy „obcej narodowości“, bez względu na to, do jakiego kościoła czy sekty należą. Sami więc tylko Włosi i Abisyńczycy będą odtąd mogli pracować na terenie Abisynii...

Zakaz ten był wymierzony w misjonarzy francuskich, angielskich, holenderskich i in. Francuskich wprawdzie nie wielu zostało po represjach, które przedsięwziął Mussolini w okresie zdobywania Abisynii; coś ich jednak zostało, jak podnosi prasa francuska... Najgłośniejszym echem odbił się ten zakaz w Anglii. Wystąpił przeciw niemu poseł z socjalistycznej „Partii Pracy“ Henderson, a min. Eden w odpowiedzi na jego interpelację oświadczył, że zarządzenie włoskich władz jest „przedmiotem studiów“. W związku z tym hr. Grandi, amb. włoski w Londynie, złożył wizytę w „Foreign Office“ i próbował uzasadnić wobec min. Edena krok swego rządu tym, że w okresie utwierdzenia panowania włoskiego w Abisynii musi uciekać się do tak „nadzwyczajnych“ sposobów. W odpowiedzi na to oświadczył Eden, że jeśli zakaz włoski będzie wykonany, W. Brytania odpowie wypędzeniem włoskich misjonarzy ze wszystkich swoich dominiów i kolonij.

Dla katolickiej pracy misynej gotowe w ten sposób powstać nowe trudności.

SZKOŁA W III RZESZY.

Dość wyczerpująco informujemy czytelników o prześladowaniu katolicyzmu w III Rzeszy. Ale warto tu podać kilka informacyj, które otrzymaliśmy ze szczególnego źródła, a które są najzupełniej pewne.

Według statystyki z maja 1937 r. było 1066 szkół powszechnych w północnej Bawarii, w czym tylko 100 szkół międzywyznaniowych, więc hołdujących ideologii narodowo-socjalistycznej; inne, a więc przygniatająca większość, były wyznaniowymi, bądź katolickimi, bądź protestanckimi. Zarządzony w kwietniu plebiscyt wśród rodziców wypadł dla rządu fatalnie. Mimo presji i podobnych metod oddziaływania na opinię, ledwie 1/3 rodziców wypowiedziała się za szkołą międzywyznaniową. W odpowiedzi na to rząd pod błahym pozorem „nadużyć“ (których się dopuścili oczywiście katolicy, nie narodowi socjaliści) unieważnił plebiscyt i zarządził nowy. Ten przyniósł mu już 95 proc. głosów za szkołą międzywyznaniową... Na tej podstawie teraz likwiduje resztki szkolnictwa wyznaniowego w tej części kraju.

Duże trudności w tej dziedzinie ma komisarz Rzeszy na Zagłębie Saary... Mianowicie znaczna część katolickiego nauczycielstwa szła w czasie plebiscytu przeciw rozkazom z Berlina i nie chciała agitować za nieznaną tu szkołą międzywyznaniową. Po plebiscycie zaczęły się represje. Wszystkich nauczycieli, których agitatorzy hitlerowscy oskarżali o występowanie przeciw szkole międzywyznaniowej, zostali pozbawieni stanowisk, młodsi odeszli bez emerytury. I to pomimo konstytucji i pomimo konkordatu, które gwarantują wolność szkole wyznaniowej.

DEKRET KONGREGACJI.

„La Croix“ podaje dekret Kongregacji św. Officium polecający biskupom usuwać pewne nadużycia, które się z biegiem wieków wkradły do kultu lub form pobożności.

Już sobór trydencki — czytamy w dekrecie — podkreśliwszy prawomocność kultu Świętych i oddawania im czci za pośrednictwem obrazów, wkładał na biskupów obowiązek przestrzegania, by usuwali z tego kultu to wszystko, co by oznaczało fałszywy dogmat, zabobon we wzywaniu pomocy Świętych lub w kulcie obrazów, i by zwalczali ciągnienie zysków z rzeczy świętych, w końcu by z kultu usuwali wszystko, co jest wulgarne i nie licuje z świętością obrzędów religijnych. Następnie Pius IX za pośrednictwem Kongregacji św. Officium w r. 1875 ponowił zarządzenia soboru trydenckiego, wzracając szczególną uwagę na wprowadzanie nowych modlitw i nabożeństw. Wreszcie Kodeks Prawa Kanonicznego w kanonach: 1259, 1261 i 1279 przypomniał te wszystkie postanowienia. Wobec tego jednak, że „jeszcze, niestety, nie wszędzie wykonano te wskazania i te przepisy najwyższej władzy“, co „w wielu okolicach wywołuje zgorszenie niekatolików“, — Kongregacja zobowiązuje biskupów „w sumieniu“ do „przestrzegania ścisłego wykonania tych przepisów.“

KOŚCIÓŁ I „KAPLICZKI“.

Poruszona w dekrecie Kongregacji sprawa jest bardzo delikatna, ale z pewnych względów ważna.

Kościół katolicki — jak to pieknie powiedział pod koniec życia Stan. Brzozowski — jest tak wielki, że dopuszcza istnienie małych kapliczek dla pewnych typów religijności... Zapewne. Nawet wśród największych teologów nie ma tego zuniformizowania, które dziś jest tak modne. Czy np. kard. Newman nie był do pewnego stopnia „outsider‘em“ wśród teologów? Czy nie stworzył własnej „kapliczki“ pod wielkim sklepieniem katolickiego Kościoła?

Ale — z drugiej strony — żadna z tych „kapliczek“ nie może się znajdować poza Kościołem. Żadna teoria religijna, żadna dewocja... Muszą być zgodne z dogmatem. Zdarza się jednak, że tak nie jest. Zdarzają się formalne zabobony przybrane w szaty dewocji i „fałszywe dogmaty“ uchodzące niemal za ostatni wyraz nauki Kościoła. Mają one źródło w połączeniu uczuciowej pobożności z brakiem teologicznego wykształcenia... Z tego względu dekret Kongregacji rzymskiej jest na czasie.

Pejot.

Wychowanie przez radio

Jak poważną rolę odgrywa już nowoczesna radiofonia w życiu kulturalnym świata, wykazują cyfry podane w miesięczniku angielskim „World-Radio“. Okazuje się, np. że w Niemczech zainstalowano już 6,142.921 odbiorników radiowych, w Anglii 6,760.569. W Holandii liczba aparatów zainstalowanych podskoczyła z 648.275 w ciągu jednego roku na 909.127. W Belgii jeszcze w r. 1934 liczono zainstalowanych aparatów odbiorczych 465.791, a w następnym 1935 już 603.860. Sowiety posiadają już 21 milionów 194.720 zainstalowanych aparatów radiowych. Stany Zjednoczone liczą najwięcej, bo 70 milionów 801.137.

Co się tyczy Polski, to w ostatnim roku przyrost abonentów wyniósł 230.000 nowych radio-słuchaczy, co stanowi przeszło 40% przyrostu i stawia nas pod tym względem na jednym z pierwszych miejsc w Europie. Pod względem absolutnej ilości radio-abonentów przesunęliśmy się w ciągu ub. roku z 11 miejsca na 8, wyprzedzając znacznie Austrię, Danię i Włochy, które w roku ub. miały znacznie mniejszy przyrost abonentów. Równocześnie zaznaczył się ogromny przyrost radiosłuchaczy wiejskich, których było 1 września ub. roku 105.000, a dziś jest ich zgórą 270.000. Przyrost ten dotyczy przede wszystkim abonentów detektorowych.

Oddziaływanie wychowawcze radiofonii odbywa się w trzech kierunkach: **moralnym, społecznym i artystycznym.** Państwa nowoczesne zdają sobie sprawę z tego potężnego wpływu, jakie radio wywiera na kształcenie osobowości, stąd zwłaszcza te państwa, w których panuje tendencja do całkowitego owładnięcia psychiką obywatela, starają się roztoczyć całkowitą kontrolę nad treścią programów radiowych. Sowiety pod tym względem stanowią typowy przykład. Istnieje tam „Naczelny Państwowy Instytut Radiofonii“, zależny bezpośrednio od Rady Komisarzy Ludowych i rozciągający całkowitą kontrolę nad każdą audycją. System sowiecki kładzie nacisk przede wszystkim na audycje zbiorowe, instalując radioodbiorniki w klubach, związkach, a nawet na placach publicznych. Przy tym radiofonia sowiecka na pierwszy plan wysuwa nie względy rozrywkowe, a propagandowe i oświatowe.

Istnieje błędne mniemanie, jakoby radio miało służyć przede wszystkim celom rozrywkowym. **Czego chcą słuchacze?** Urządzane w tym celu ankiety, dawały nieraz ciekawe rezultaty. Np. w Niemczech — jak podaje przegląd radiowy „Funk und Bewegung“, — ankieta przeprowadzona w Worms dała następujące rezultaty: 600 radiosłuchaczy żądało muzyki lekkiej, 506 lekkich utworów scenicznych, fars, komedii i t. p., 286 poważniejszych utworów dramatycznych, 373 — pogadanek naukowych, 358 — konferencji na tematy religijne i wychowawcze, 253 — pogadanek z dziedziny technicznej, a tylko mała garstka okazała zainteresowanie polityką bieżącą.

W Japonii przeważająca ilość audycji radiowych poświęcona zostaje sprawom wychowania i oświaty, a mianowicie: 35% radio-programów obejmuje kwestie wychowania społecznego, 30% pogadanek naukowych i oświatowych ,a tylko 19% poświęca się celom rozrywkowym. Radiofonia nowoczesna w ostatnich czasach zajmuje się żywo problemem dokształcania na t. zw. kursach wieczorowych. Słusznie zostaje podkreślany dodatni wpływ radia w tym względzie. Słuchacze takich podanych przez radio kursów wieczorowych nie są już jak dawniej zmuszani opuszczać ognisko domowe wieczorami po całodziennej pracy wykonywanej też zwykle poza domem, co wpływało ujemnie na życie rodzinne. Obecnie audycje raczej przyczyniają się do zacieśnienia węzłów rodzinnych. (Por. „Radio et la question des cours du soir“).

Specjalnym zagadnieniem wprowadzenia radia do szkół zajęła się Główna Rada Programowa Polskiego Radia. By umożliwić zakup radioodbiorników przez poszczególne szkoły postanowiła zainteresować samorządy i zwróciła się z tą myślą do Min. Spraw Wewnętrznych. Podobno drogę obrały już wcześniej inne państwa jak Holandia i Belgia, gdzie wynik tej akcji okazał się dodatni. Również we Francji nawołuje się do tworzenia kooperatyw szkolnych radiowych.

Wreszcie na polu międzynarodowym radio może również okazać dobroczynną rolę wychowawczą. Istniejąca w Szwajcarii Międzynarodowa Unia Radiowa (Union Internationale de Radio) zmierza do tego, aby wytworzyć atmosferę porozumienia między narodami na polu kultury i sztuki. Poświęca się w tym celu np. specjalne audycje, na które się składają pieśni ludowe, śpiewane przez przedstawicieli młodzieży różnych narodów. Audycje te odbywają się pod hasłem: „Młodzież śpiewa ponad granicami!“ (La jeunesse chante par dessus les frontières).

Rytm myśli nowoczesnego człowieka został niejako skrócony, tempo przeżyć zostało przyśpieszone. Komunikaty radiowe muszą odpowiadać potrzebom tego nowego rytmu. Zachodzi potrzeba szkolenia specjalnych wykładowców radiowych, którzy by w różnych dziedzinach kultury i oświaty sprostali zadaniu. Przed każdym wykładowcą radiowym stoi wielka odpowiedzialność moralna, jeżeli się zważy, że w tym wypadku potęga słowa mnoży się w przestrzeni w sposób niebywały. Ojciec św. Pius XI, mówiąc do przedstawicieli „Dobrej Prasy“ (La Bonne Presse) powiedział: „Słowo samo przez się posiada siłę, ale słowo pomnożone w przestrzeni przez środki nowoczesnej techniki, stanowi groźną potęgę“.

—000—

Z obcej niwy

Zmierzch uwodzicieli

„To, co się dzieje w Moskwie, to więcej, niż błąd, więcej, niż zbrodnia — to kompromitacja socjalizmu na całym świecie“.

Tak powiedział wybitny „austro-marksista“, Otto Bauer, mieszkający dziś w Czechosłowacji. I rzeczywiście, rozkład partii komunistycznej w Rosji, to kompromitacja doktryny Marksa.

A oto inne głosy w związku z ostatnimi egzekucjami w Rosji:

„Co wart taki sojusznik, jak Sowiety, w których najwyższe czynniki państwowe są przeżarte zdradą“ („Temps“). „Jeżeli Tuchaczewski i 7 generałów byli szpiegami, to jedno z dwojga, albo jest to prawdą a wówczas Sowiety okazują się krajem zupełnie przegniłym, albo jest to kłamstwo — zaś wówczas reżim sowiecki jest ostatecznie skompromitowany“ („Republique“). „Największy wróg chrystianizmu pożera sam siebie... Słowa papieża z encykliki „Divini Redemptoris“ zaciążyły klątwą nad bezbożnym komunizmem. Będziemy wkrótce świadkami tej ciągle powtarzającej się prawdy, że wszelka ludzka potęga, uderzająca w Opokę Piotrową kruszy się sama w sobie“ („L'Aube“).

Cały świat obserwuje tę koszmarną tragikomedię, której widownią już od długiego czasu jest Rosja. Cóż zostało z doktryny Lenina? Jak właściwie nazwać ten zlepek nacjonalizmu rosyjskiego, pomieszany z kapitalizmem dawnego typu i wschodnią tyranią Stalina? Nawet mało inteligentni marksiści zaczynają rozumieć, że to, co się dzieje w Rosji nie wiele co ma wspólnego z realizowaniem doktryny socjalistycznej, a jest tylko tyranią.

Z dawnej awangardy rewolucyjnej twórców komunizmu rosyjskiego zostały strzępy. Ciągle plwając na swych towarzyszy, którzy do niedawna reprezentowali państwo sowieckie, sami bolszewicy wydają na siebie sąd, wykazując, że cały ich reżim oparty jest na bagnie. We wzajemnym samounicestwianiu zatracają już nawet poczucie śmieszności: „Śmierdzące męty trockistów — pisze moskiewska „Prawda“ — i zinowiewców, całe to ścierwo(!) usiłuje podkopać się pod ściany naszego państwa“.

Czym właściwie jest dzisiejszy stalinizm? Trudno określić. Jedni mówią, że Stalin, to realista, płynący z najsilniejszym prądem. Inni twierdzą, że jest on taktykiem, a nie ideologiem i że dla doktryny Marksa integralnej żywi głęboko ukrytę pogardę. Inni wreszcie widzą w taktyce krwawego dyktatora po prostu zrezygnowanie z ambicji rewolucji socjalnej i przystosowanie się do konkretnych warunków środowiska.

W każdym razie ostatnie rozprawy i egzekucje wśród wodzów bolszewizmu wywoływać zaczynają u komunistów i poza granicami Rosji głębokie rozczarowanie i jakby wstyd. Zaczynają się budzić sumienia u tych, u których choćby iskierka szczerej ideowości pozostała, którzy wierzyli w glebszy sens doktryny Marksa.

Powstaje dziś wśród t. zw. „ideowych“ komunistów tragikomiczne pytanie: Jaki właściwie komunizm propagować, czy Lenina, czy Trockiego, czy Stalina?... Kto wśród samych przywódców bolszewizmu jest właściwie „zdrajcą proletariatu“?

Powstał chaos. Wychodzi na jaw obłuda sprytnych agitatorów, którym nie chodzi bynajmniej o dobro „mas pokrzywdzonych“ ale którzy po prostu z całym cynizmem na ruinach dawnej carskiej Rosji walczą o władzę. Przed tą obłudą propagatorów komunizmu przestrzegał Ojciec święty:

Nie wielu tylko poznało — mówi Papież w encyklice „Divini Redemptoris“ — prawdziwe zamiary i cele komunizmu; większość zaś z łatwością uległa pokusie przystępującej do nich w postaci najpotężniejszych obietnic. Propagatorzy komunizmu bowiem twierdzą obłudnie, że dążą tylko do poprawienia doli warstw pracujących... Ukrywają odrażające i nieludzkie okrucieństwo zasad i metod bolszewickiego komunizmu. W taki sposób uwodzi się wybitniejsze jednostki do tego stopnia, że stają się one apostołami pośród młodej inteligencji, nie umiejącej jeszcze dostrzec błędów, głęboko tkwiących w tym systemie“.